

Paula Detmer Riggs

Przypadkowy tatuś

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Stacy Patterson patrzyła, jak domy przemykają za szybami samochodu z szybkością ponad stu kilometrów na godzinę.

- Len, proszę cię, zwolnij! - próbowała przekrzyczeć ryk podrasowanego silnika.

Za kierownicą smukłego czarnego transama siedział jej były mąż. Pod daszkiem granatowej czapeczki grup antyterrorystycznych, której nie miał już prawa nosić, jego urodziwa kiedyś twarz wykrzywiła się groteskowo.

- Mówiłem, że cię znajdę, dziwko, i nie pozwolę, żebyś mnie znowu rzuciła! - Wyszczrzył zęby w obłąkańczym uśmiechu.

Przyspieszył jeszcze, wprowadzając wóz w zakręt z taką szybkością, że zapiszczały opony. Szarpnięta pasem Stacy poczuła, że tył samochodu tańczy gwałtownie. Krzyknęła ostrzegawczo.

Len zaklął i szarpnął kierownicą. Myślała, że odzyskał panowanie nad wozem, póki nie dostrzegła sosny wznoszącej się tuż przed nimi. Zbyt przerażona, by krzyczeć, pochyliła się w rozpaczliwej próbie chronienia kruchego życia w jej brzuchu.

Uderzenie cisnęło Stacy na deskę rozdzielczą, a potem pas szarpnął ją do tyłu. Ból gorącą igłą przeszył głowę. Ostatnia myśl przed zapadnięciem w ciemność dotyczyła dziecka, które nosiła.

Boyd MacAuley usłyszał przeraźliwy huk zderzenia, kiedy wysoko na rusztowaniu otaczającym ozdobną wieżyczkę wiktoriańskiego domu pracowicie montował nowy witraż. Zanim się jeszcze odwrócił, wiedział, że kolejny kierowca nie zauważył sławnego ostrego zakrętu od strony ulicy Astoria i trafił w drzewo po drugiej stronie szosy.

Zbiegł jak najszybciej po drabinie. Był już na dole, w chwili gdy otworzyły się drzwi niewielkiego domu obok.

- Dzwon pod 911! - krzyknął do chudej dziewięciolatki, która stanęła w progu.

Heidi Lanier odwróciła się na pięcie i zniknęła wewnątrz.

Pędząc przez trawnik, Boyd szybko ocenił sytuację. Sportowy transam, który trafił w pień drzewa, był zbyt starym modelem, by posiadać poduszki powietrzne. Jeśli pasażerowie nie zapięli pasów...

Samochód uderzył w pień z taką siłą, że maskę zgmiotło niczym puszkę coca - coli. Potężnie zbudowany kierowca wypadł przez przednią szybę i leżał teraz twarzą w dół, wśród rozbitego szkła na pogniecionej masce. Wyglądał na trzydzieści parę lat i sądząc po przekrzywionej głowie, nie miał szans żyć dłużej.

Boyd ścigał w biegu brudne robocze rękawice. Zdyszany, przytknął dwa palce do szyi mężczyzny i modlił się, by wyczuć choć słaby puls. Kierowca był jednak martwy albo tak bliski śmierci, że nawet karetka reanimacyjna by go nie ocaliła.

Przez rozbity szybę spojrzął na pasażerkę. Drobna kobieta, na oko przed trzydziestką, ubrana w luźną męską koszulę i szorty, zwisała nieruchomo z siedzenia, przytrzymywana przez pas bezpieczeństwa. Włosy miała pozlepiane krwią, a na desce rozdzielczej dostrzegł czerwoną plamę.

Niech to szlag, pomyślał. Obiegł samochód i sięgnął po klamkę od strony pasażera. Błyszczący chrom parzył mu dłoń, a drzwi nie chciały się otworzyć. Albo zablokował się zamek, albo rama wozu zgięła się przy zderzeniu. Miał już pobiec do swojej furgonetki po narzędzia, kiedy zobaczył, że kobieta się poruszyła.

- Słyszysz mnie pani?! - krzyknął przez szybę.

Ktoś mnie wołał? Stacy odwróciła głowę, otwierając szeroko oczy w mgłę pulsującego bólu. Każde mrugnięcie,

każdy oddech kosztował ją wiele wysiłku. Przed sobą widziała drzewo, w które uderzył ich samochód.

Tłumiąc mdłości, wolno obróciła głowę w stronę siedzenia kierowcy i natychmiast tego pożałowała. Poczowała, że jej skóra pokrywa się lepkiem potem. Już raz zemdląca, w początkach ciąży, i rozpoznała znaki ostrzegawcze.

- Proszę pani? Proszę posłuchać.

Głos dochodził gdzieś z bardzo daleka. Stacy zamrugła powiekami i odwróciła się w stronę drzwi. Z wielkim wysiłkiem zdołała zogniskować spojrzenie na człowieku widzianym z drugiej strony szyby. Najpierw dostrzegła klamrę, spinającą luźny ciesielski pas na wytartych i brudnych dżinsach. Powyżej widoczny był umięśniony tors barwy brązu, pokryty warstwą potu. Na rękach mężczyzny wystąpiły żyły, gdy szarpał drzwiczki, usiłując je otworzyć. Z trudem uświadomiła sobie, że chce jej pomóc.

- Niech pan pomoże jemu - spróbowała krzyknąć. Zerknął ponad nią i zacisnął lekko wargi, zanim znów spojrzał jej w oczy. Zrozumiała.

- Czy może pani otworzyć drzwi?

Twarz mężczyzny ocieniało rondo słomkowego kapelusza, Stacy dojrzała tylko głęboko osadzone oczy koloru hartowanej stali, nie całkiem prosty nos i szerokie usta ściśnięte w wąską linię.

- Proszę pani! Drzwi!

- Nie są zamknięte - wykrztusiła zimnymi wargami.

- Zaklinowały się - warknął mężczyzna. Przynajmniej tyle zrozumiała. Huk w głowie utrudniał myślenie. Mężczyzna popatrzył na nią przez sekundę, po czym wyprostował się i wyciągnął coś zza pasa. Młotek, uświadomiła sobie po chwili skupienia.

- Wybije szybę. Niech pani zakryje twarz! - zawołał. Wybije szybę? To ma sens, pomyślała i zdołała kiwnąć głową,

zanim zasłoniła twarz lodowatymi dłońmi. Usłyszała trzask, poczuła odłamki hartowanego szkła na ramieniu i krzyknęła. Po kilku sekundach uniosła głowę. Mężczyzna, dłońmi w rękawicach, wyłamywał resztki szyby. Potem chwycił drzwiczki, oparł lewą nogę o karoserię i szarpnął. Metal zazgrzytał przeraźliwie, ale nie ustąpił.

- Niech to szlag... - mruknął i otarł pot z czoła.

Zacisnął zęby, naprężył mięśnie i spróbował znowu. Kiedy Stacy już była pewna, że się pokaleczy, drzwi odskoczyły. Poczowała podmuch gorącego powietrza.

Mężczyzna przykucnął i zwolnił zaczep pasa. Zaważyła, że zdjął rękawice i wsunął je za ciesielski pas. Miał duże szorstkie ręce i mocno umięśnione ramiona.

Oblizwała wargi i próbowała przypomnieć sobie jakieś słowa podziękowania, gdy usłyszała cienki głos.

- Nic jej nie jest?

Obok mężczyzny stanęła chuda dziewczynka. Wyglądała najwyżej na dziesięć lat i była przestraszona. Stacy chciała ją uspokoić, ale nie miała siły.

- Wyjdzie z tego - odparł mężczyzna, po czym zapytał: - Karetka już jedzie?

- Tak. Pani z pogotowia powiedziała, że będą tu za pięć minut... I żeby nie ruszać pasażerów.

- Dobrze.

Pochylił się, a jego ciało osłoniło Stacy przed ostrym słońcem.

Choć wdychała gorące powietrze, jednak czuła się jak przemarznięta. Kiedy zaczęła dzwonić zębami, mężczyzna zaklął krótko i poleciał:

- Heidi, prędko, przynieś z domu koc. Dziewczynka mszyła biegiem przed siebie.

- Nie... powinnam... marznąć - wyszeptała Stacy.

- Za chwilę ułożą panią w miłej i ciepłej karetki. Zdjął kapelusz i rzucił go na ziemię przy samochodzie.

Włosy miał gęste, jasne i wilgotne.

- Godzinę temu... marzyłam o zimie. Uśmiechnął się, ale ciemne oczy pozostały czujne.

- Czy boli panią kark albo plecy?

- Nie - wymamrotała i skrzywiła się, gdy kolejna igła bólu wbiła się w jej skroń.

Spojrzał poniżej jej nabrzmiątych piersi na wznórek pod luźną koszulą.

- Niech to diabli! Jest pani w ciąży! Powiedział to w taki sposób, że aż zadrżała.

- Tak. Czy to nie cudowne?

Z jego miny wywnioskowała, że nie podziela jej radości.

- Od jak dawna?

Spróbowała się uśmiechnąć, jak zawsze, gdy myślała o tym małym ciałku, które rosło z każdym dniem.

- Minął siódmy miesiąc. Zacisnął szczęki.

- Kto jest pani lekarzem?

- Nie mam jeszcze lekarza - przyznała, uciekając przed jego surowym spojrzeniem. - Jestem w mieście od paru tygodni.

- Kiedy po raz ostatni robiła pani USG? - zapytał i w tej samej chwili przybiegła Heidi, przyciskając do piersi włochaty koc.

Stacy próbowała uśmiechnąć się z wdzięcznością, ale miała wrażenie, że jej wargi są z drewna.

- O Boże, ten pan... nie żyje?! - krzyknęła dziewczynka z przerażeniem, dopiero teraz dostrzegając ciało.

Jej wybawca odwrócił się, uniemożliwiając dziecku spoglądanie na maskę.

- Heidi, musisz być spokojna dla dobra tej pani - polecił łagodnym, ale rzeczowym tonem. Objął dziewczynkę

ramieniem, uściskał mocno, a potem odsunął delikatnie. - A teraz idź, zadzwoń jeszcze raz na 911 i zostań w domu, aż dyspozytor oddzwoni. Dobrze?

- Dobrze.

Stacy patrzyła, jak mała biegnie przez ulicę, z rozwianymi długimi jasnymi włosami.

- To pana córka? - Głos miała dziwnie brzmiący, jakby jej usta zasłaniały grube warstwy materiału.

- Nie, to po prostu dzieciak, który wraca po szkole do pustego domu. Zazwyczaj kręci się w pobliżu, kiedy pracuję.

Pochylił się i miękkim kocem otulił drżące ciało Stacy. Teraz zobaczyła, że jego złociste włosy przetykane są siwizną, a nagie piegowate ramiona okrywa warstwa brudu.

- Ciepłej?

Usiłowała kiwnąć głową, ale delikatny ruch sprawił ból.

- Dziękuję - powiedziała, gdy ból trochę zelżał.

- Kiedy sprowadziła się pani do miasta?

- Po zakończeniu sprawy rozwodowej. - Spróbowała spojrzeć na miejsce kierowcy, ale nieznajomy przytrzymał ją lekko za brodę. - Len nie mógł się z tym pogodzić. Jego lekarze uznali, że lepiej będzie, gdy się rozstaniemy.

- Lekarze? - Dostrzegła w jego oczach współczucie.

- Przez dwa lata... parę razy trafiał do szpitala dla psychicznie chorych w Waszyngtonie. Myślałam, że znowu tam jest, ale przyszedł do mojego mieszkania z pistoletem w dłoni.

Jej wybawca stłumił przekleństwo, omiótł wzrokiem fotel kierowcy i podłogę. Dziewięćmilimetrowy pistolet tkwił wciśnięty między sprzęgło a hamulec. Zadrzała. W dali wyła coraz głośniejszy syrena karetki.

- Najwyższy czas - mruknął mężczyzna. - Zaraz będzie pani w dobrych rękach.

- Jest pan bardzo uprzejmy, panie... - Usiłowała przypomnieć sobie nazwisko tego mężczyzny, ale uświadomiła sobie, że go nie podał.

- Boyd MacAuley.

- Jestem Stacy Patterson. - Wysunęła rękę spod koca. Jego silne palce były cudownie szorstkie. Stacy była senna, więc zamknęła oczy.

- Już niedługo, pani Patterson - usłyszała jeszcze i pierwszy raz od wielu miesięcy poczuła się bezpieczna.

Szpital w Portland był solidnym budynkiem, przypominającym ceglaną fortecę. Stał na przedmieściu, wciśnięty między dwie rzeki: Willamette i majestatyczną Columbię. Boyd czuł się tu jak w domu, odkąd osiem lat temu wkroczył frontowymi drzwiami i przestraszył stażystkę. Teraz jednak było to miejsce, do którego nie chciał wracać.

Gdy karetka stanęła przed izbą przyjęć, Boyd wysiadł z niej natychmiast. Pani Patterson zemdląła tuż przed przybyciem pomocy i była wciąż nieprzytomna, ale jej stan się ustabilizował. Chyba nic rannej nie groziło. Kiedy trafi w ręce lekarzy, będzie mógł wrócić do swoich zajęć.

Najwyżej dziesięć minut, powiedział sobie, podążając za parą sanitariuszy, pchających wózek z noszami. Wystarczająco długo, by przekazać dyżurnej pielęgniarce wszystko, czego się dowiedział, zanim Stacy zemdlą.

W szpitalu panowała atmosfera kontrolowanego pośpiechu. Niewiele się tu zmieniło przez te trzy lata, pomyślał Boyd, wciągając w płuca charakterystyczny zapach. Ogarnęła go fala niechcianych wspomnień.

Poczuł chłód w piersi, podłoga się zakołysała. Wbił rękę w kieszenie, odetchnął głęboko, walcząc z narastającą furią. Chłód cofał się wolno, aż wreszcie Boyd mógł normalnie oddychać.

- Do czwórki, panowie - poleciła dyżurna pielęgniarka i sanitariusze ruszyli we wskazanym kierunku.

Boyd znał ten typ - pielęgniarki przypominającej raczej sierżanta, bez krztyny poczucia humoru. Podczas lat stażu i pracy lekarza nieraz miał do czynienia z podobnymi do niej. Najlepszym wynikiem, jaki kiedykolwiek osiągnął, był remis.

- Czy jest pan krewnym? - spytała pielęgniarka, patrząc z dezaprobatą na jego nagą pierś.

- Nie, tylko świadkiem wypadku.

Dostrzegł wojowniczy błysk w jej oczach i już miał ją wyminąć, gdy usłyszał znajomy głos, wołający go po imieniu. Obejrzał się i odetchnął z ulgą. Prudence Randolph była najlepszą pielęgniarką, jaką spotkał w ciągu tych lat, które poświęcił medycynie. Była też jego sąsiadką i przyjaciółką.

- Czy ten opalony przystojniak jest owym słynnym samotnikiem MacAuleyem?

Prudy uwielbiała takie przekomarzenia i flirty, ale tylko z mężczyznami, których uważała za przyjaciół. Rozwiodła się wiele lat temu i - jak twierdziła - przysięgła sobie nie wychodzić już za mąż.

Nagle dotarło do niego, że ma na sobie tylko prze poczone dzinsy i jest bardzo brudny. Z pewnością cuchnął jak mokry pies, którego zresztą przypominał.

Prudy uśmiechnęła się lekko, przyglądając się pacjentce.

- To twoja przyjaciółka?

- Nigdy jej nie widziałem. Powiedziała, że nazywa się Stacy Patterson. Nie znaleźliśmy torebki ani żadnych dokumentów.

- Wypadek?

Boyd przeczesał palcami włosy i kiwnął głową.

- Transam wpadł na drzewo przy Astorii. Ta kobieta siedziała obok kierowcy i sądzę, że uderzyła głową w szybę. - Boyd odetchnął głęboko. - Jest w ciąży. Siódmy miesiąc.

Prudy przymknęła oczy.

- W jakim jest stanie? - spytała sanitariusza.

Kiedy chłopak zaczął podawać wyniki wstępnych badań, Boyd przyglądał się twarzy kobiety, szukając oznak powracającej świadomości. Krew sączyła się przez bandaż na jej głowie.

Drobna i zbyt szczupła, przypominała mu bezcenną lalkę, którą babcia ustawiła na komodzie. Skórę miała tak samo półprzejrzystą jak porcelana, a rzęsy długie i gęste. Pograżona we śnie, wydawała się bardzo młoda, delikatna i straszliwie samotna. Ten widok sprawiał mu ból. Nie potrafił odejść.

- Wezwij doktor Hoy - poleciła Prudy pielęgniарce. - I kogoś z laboratorium. Musimy zbadać jej krew.

Dyżurna zerknęła jeszcze na Boyda z ciekawością, a potem odeszła.

- Co z kierowcą? - spytała Prudy.

Boyd zawahał się. Miał przed oczami obraz martwego człowieka.

- Wypadł przez przednią szybę. Wyglądał jakby skrzył kark.

- To był jej mąż?

- Mówiła, że były.

- Ojciec dziecka?

Boyd znowu przeczesał włosy opadające mu na czoło.

- Nie mówiła o takich szczegółach, ale na to wygląda.

- Były czy nie, nie będzie jej łatwo, gdy się obudzi.

- Prudy zmarszczyła brwi. - Zwłaszcza jeśli straci i dziecko.

Zawsze najtrudniej jest temu, który miał „szczęście” i przeżył, pomyślał Boyd, patrząc, jak dwaj sanitariusze przenoszą Stacy na wąskie łóżko.

- Przepraszam. - Jenkins, starszy sanitariusz, rzucił znaczące spojrzenie i Boyd uświadomił sobie, że przeszkadza.

Zapomniał, że jest teraz stolarzem, robotnikiem o szorstkich rękach, bardziej nadających się do młotka niż skalpela. Wprawdzie zmienił zawód, ale wiedza o medycynie pozostała. Poczekał, aż wyjdą sanitariusze.

- Kto ma dyżur na ginekologii?

- Jarrod. - Prudy uniosła głowę znad opaski, którą zakładała na szczupłe ramię pacjentki, by zmierzyć ciśnienie. - Zajmiemy się nią, Boyd. Nic jej nie będzie.

- Tak, na pewno. - Coś ścisnęło go w krtani i musiał dwukrotnie przełknąć ślinę. Słyszał to już kiedyś, a nawet w to uwierzył. Teraz był mądrzejszy. - Pójdę już.

Cofnął się do wyjścia i niemal zderzył się z laborantem.

- Powinien pan poczekać na zewnątrz, dopóki lekarz nie zbada pańskiej żony - poinformował niecierpliwie laborant.

- Ona nie... - zamilkł, widząc, że tamten nie słucha. Odwrócił się, ale zatrzymał go cichy głos pani Patterson.

- Nie, proszę zaczekać. Nie chcę, żeby pan odchodził.

- Przytomna już, próbowała się uśmiechnąć. - Nie podziękowałam panu.

- Nie ma za co. - Odchrząknął. - Dotrzymałem tylko pani towarzystwa, dopóki nie nadjechał autobus.

Stacy zwilżyła wargi i próbowała skupić się na słowach wybawcy.

- Autobus?

- Przepraszam, miałem na myśli ambulans.

- Nie... pamiętam, ale oczywiście musiał przyjechać... Głupio mi, że... zapomniałam.

Wysięk związany z mówieniem rozbudził ból głowy. Skup się na jego oczach, powiedziała sobie Stacy, gdyż twarz mężczyzny przesłaniała mgła. Szare oczy, w których było coś dziwnie smutnego, obramowane były gęstymi brązowymi rzęsami. Przez chwilę miała wrażenie, że patrzy w oczy swego udręczonego męża.

- Boyd? - 'wyszeptała i usłyszała jego głęboki głos. Słowa odpowiedzi były niewyraźne, a jednak uspokoiły ją.

Kolejna twarz pojawiła się w polu widzenia: twarz o kobiecych rysach i miłym uśmiechu, otoczona aureolą lśniącej miedzi.

- Czy mamy kogoś zawiadomić, pani Patterson? Rodzinę? Stacy zastanawiała się chwilę.

- Ktoś powinien zadzwonić do moich byłych teściów w Seattle. Leonard Patterson, Stanton Street. - Starzy Pattersonowie nigdy jej nie wybaczyli, że podpisała dokumenty, przez co ich jedyny syn trafił do szpitala.

Ktoś powtórzył informację i spytał, czy może jeszcze kogoś powiadomić. Może ojca dziecka?

- Len...

- Len był ojcem? - ktoś zapytał.

- Tak.

Len marzył, żeby być ojcem, zanim naćpany dzieciak rozwalił mu głowę kijem do baseballu. Wtedy stał się człowiekiem gniewnym i okrutnym, podatnym na napady szału, które w końcu zniszczyły jej miłość i lojalność.

- Jeszcze ktoś? Sąsiedzi? Ktoś z pracy?

Stacy przełknęła ślinę. Usiłowała przypomnieć sobie nazwisko kobiety, które powinna podać. Twarz okrągła, poważna, z czupryną kędzierzawych siwych włosów.

- Adeline... Marsh.

- Przyjaciółka?

- Kierowniczka szkoły podstawowej. Złożyłam tam dokumenty. - Stacy oblizała wargi i nagle uświadomiła sobie, że jej dłoń znowu znalazła się w ręku Boyda. Podała mu ją, czy sam po nią sięgnął? Nieważne; była wdzięczna za ten kontakt z drugim człowiekiem. Mocniej zacisnęła palce.

- Przepraszam, że... oderwałam pana od pracy - wymruczała dziwnie słabym głosem.

- Praca nie zajac. - Pochylił się, a nagie ramiona przesłoniły lampę.

- Pański szef będzie się gniewał.

- Nie mam szefa. Pracuję sam.

Usłyszała obok prowadzoną szeptem rozmowę i odwróciła głowę. Ból w skroni sprawił, że syknęła.

- Spokojnie, skarbie - uspokoił ją Boyd cichym, szorstkim głosem.

Wolno odwróciła głowę, tak, że widziała jego badawcze oczy. Głębokie zmarszczki rozbiegały się z kącików oczu, sugerując, że Boyd jest człowiekiem, który umiał się śmiać. Jednak surowe rysy twarzy tworzyły obraz mężczyzny przyzwyczajonego do dyscypliny i opanowania.

- Boyd? - Nie dbając o ból głowy, rozejrzała się nerwowo.

- Jestem tu, Stacy.

Ponownie zaczęła mu dziękować, ale poczuła gwałtowny spazm bólu w karku. Przestała oddychać, a jej serce zamarło.

Ból rozszerzał się falami aż do brzucha, niemal zginając ją w pół.

- Nie! - krzyknęła. - To za wcześnie!

- Sprowadźcie natychmiast doktora Jarroda! - usłyszała ostre polecenie pielęgniarki. - Mamy tu pacjentkę zagrożoną przedwczesnym porodem.

Stacy skupiła się na silnej dłoni obejmującej jej palce.

- Uspokój się, Stacy. Oddychaj głęboko. - Głos Boyda był spokojny i chłodny.

- Powiedz im, żeby ratowali przede wszystkim dziecko - prosiła. - Każ im mi to obiecać.

- Dzieci są zadziwiająco odporne, zwłaszcza przebywające w macicy - odparł dziwnie chrapliwym głosem.

- A jeśli ona nie jest? A jeśli...

- Dość tego. - Cofnął rękę i odsunął kosmyk włosów z jej twarzy. - Wszystko będzie dobrze. Dla was obu.

Stacy znów chwyciła go za rękę.

- Czy to... obietnica, czy przepowiednia?

Wahanie było krótkie, lecz zauważalne. Nie chciał kłamać?

- Obietnica - oświadczył.

W chwilę później ktoś odsunął zasłonę. Wysoki, chudy mężczyzna mimo błękitnego fartucha przypominał raczej kowboja niż lekarza.

- MacAuley?! - zawołał zdziwiony. - Co się dzieje?

- Później to wytłumaczę - rzucił Boyd i cofnął się. Zrobił wszystko, co mógł, dla tego anioła o pięknych oczach. Reszta zależała od zawodowców. I szczęścia. Minęło sporo czasu, kiedy ostatni raz uwierzył w jedno i drugie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Boyd otworzył trzecią puszkę piwa, pociągnął z niej łyk i wyszedł z kuchni na werandę. Była już prawie siódma. Słońce zawisło nad horyzontem, zmieniając niebo w morze ognia. Sosny, typowe dla krajobrazu Oregonu, przypominały czarne zęby pożerające wolno zachodzące słońce.

Opierając bosą stopę o poręcz, wychylił się do przodu w nadziei, że poczuje wiatr, ale powietrze było nieruchome. W domu po lewej Linda i Marshall Ladd smażyli hamburgery na grillu. Na końcu wąskiej uliczki strażak z Portland, Cliff Balisky, tarmosił się ze swymi dwoma synami. Sądząc po tryumfalnych wrzaskach, kładli ojca na łopatki.

Wychylił resztę piwa. Ile to czasu minęło, odkąd ostatnio wypił tyle, żeby paść i zyskać kilka godzin całkowitego zapomnienia? Cztery, może pięć miesięcy? Dłużej?

Zanim Karen i dziecko zginęli, nigdy nie pił zbyt wiele, dzisiaj jednak potrzeba otępienia przewyciężyła wszelką ostrożność.

Stacy nic nie groziło, zapewnił sam siebie, ruszając po kolejne piwo. Była w dobrych rękach. Z pewnością śpi już spokojnie, tak jak wtedy, gdy zostawił ją parę godzin temu. Ale póki nie sprawdzi, sumienie nie da mu spokoju... Sięgnął po słuchawkę.

Wprawdzie szpitalna centrala znana była z szybkiego działania, jednak całe pięć minut minęło, zanim znaleźli Prudy.

- Przypuszczałam, że zadzwonisz - powiedziała na wstępie.

- No, pewno. - Boyd spojrział ponuro na swoje odbicie w szybie. Zaczynał żałować, że zatelefonował.

- Odpowiadając na twoje pytanie...

- Jakie pytanie? Zdążyłem się tylko przywitać.

- Śpi spokojnie.

Usłyszał kpiącą nutę w zmęczonym głosie Prudy i poczuł, że jego cierpliwość się kończy.

- Powiesz mi, co chcę wiedzieć, czy mam dobijać się do twoich drzwi o piątej rano przez cały następny tydzień?

Prudy jęknęła.

- Umiesz prowadzić rozmowy z pozycji siły, ty draniu.

- Mężczyzna musi czasem...

- Dobrze, już dobrze. - Wyczuł rozbawienie Prudy i napięcie opadło. - Doznała wstrząsu, o czym już wiesz, ma mocno zwichniętą lewą kostkę i imponującą kolekcję siniaków.

- A dziecko? - Przełknął ślinę i wyprostował ramiona.

- Jak dotąd, miewa się nieźle, choć pani Patterson miała lekki krwotok. Jarrod podłączył ją do monitora i dał kroplówkę. Puls dziecka jest silny i równomierny.

Boyd mruknął coś z satysfakcją.

- Co powiedział Jarrod?

- Stwierdził, że mogło być gorzej. Zaczął masować napięte mięśnie karku.

- Zrób mi przysługę i przeczytaj jego notatki, dobrze?

- Wiesz, że nie mogę, Boyd. Znasz zasady. Nie jesteś ani krewnym, ani pracownikiem, a zatem...

- Do diabła z zasadami. Powiedz mi.

- Nie.

Boyd poczuł, że robi mu się gorąco.

- Od kiedy zrobiłaś się taka zasadnicza? - spytał i natychmiast pożałował tych słów.

Cisza w słuchawce była jedyną odpowiedzią. Odetchnął głęboko, by stłumić gniew na siebie za bezmyślność. Prudy była ostatnią osobą, którą chciał zranić. Jest jego najlepszą przyjaciółką. Po wypadku opiekowała się nim jak kwoka pisklęciem. Niewiele wtedy brakowało, by stracił rozum.

- Przepraszam, przesadziłem - powiedział, nie mogąc już znieść owej ciszy.

- Naprawdę cię wzięło, co? - spytała cicho.

- Tak, chyba tak. - Bardziej niż chciał to przyznać.

- Boyd...

Usłyszał współczucie w głosie przyjaciółki, więc przerwał jej bezlitośnie. Poradzi sobie z przeszłością, dopóki pozostanie pogrzebana.

- Pozdrów Stacy ode mnie, dobrze? - I odłożył słuchawkę, zanim Prudy zdążyła cokolwiek odpowiedzieć.

Stacy obudziła się, słysząc krzyk. Własny krzyk, uświadomiła sobie. Serce biło jej mocno, a skóra była mokra od potu. Czuła się bezwładna i ciężka. Ról pulsował w kostce. Zdezorientowana, obróciła się w stronę błysku światła po lewej stronie i zaraz jej głowę objęły płomienie bólu.

Wnętrze pokoju pogrążone było w cieniu. Wąskie łóżko miało boczne poręcze i było twarde jak deska, a poduszka pod obolałą głową wydawała się tylko minimalnie bardziej miękka.

Jestem w szpitalu, przypomniała sobie z ulgą. W myślach przemknął obraz Lena rozciągniętego na masce samochodu. Zadrżała. Ale teraz liczyło się tylko dziecko.

„Dzieci są zadziwiająco odporne, zwłaszcza przebywające w macicy”.

Odetchnęła głęboko, myśląc o mężczyźnie, który jej to powiedział. Uspokajające słowa mężczyzny z trocinami we włosach. Mężczyzny przyzwyczajonego do przewodzenia, uświadomiła sobie. Spokojny facet o smutnych oczach i szorstkim głosie. Nie było żadnego powodu, aby jej się zdawało, że już od bardzo dawna go zna i mu ufa. Ale to właśnie czuła.

Senna, miała wciąż w pamięci obraz jego opalonej twarzy, rozświetlonej czułym uśmiechem. Łagodnych oczu,

patrzących na nią ze współczuciem. Inteligentnych, otoczonych zmarszczkami, pełnych smutku, a może nawet i bólu.

Zasypiając, uniosła palce do warg i poczuła, że się uśmiecha. Nie sądziła, by znów się spotkali, ale przez resztę życia zachowa w sercu miejsce dla tego niezwykłego, szorstkiego, dobrego samarytanina. Wciąż o nim myślała, zapadając w sen.

- Owsianka jest cudowna. Naprawdę ją uwielbiam. Owsianka to mój przysmak.

Stacy westchnęła i jeszcze raz zamieszała łyżką gęstą mait. Była głodna, a dziecko zbudziło się i okładało ją od środka piąstkami, jakby także chciało jeść. Jednak nie mogła się zmusić do przełknięcia zawartości pierwszej łyżki.

- Po prostu smakuje jak klej do tapet - mruknęła, spoglądając na pusty kubek, w którym jeszcze przed chwilą było mleko. Nauczyła się je pić w pierwszych miesiącach ciąży. Ale owsianka?

Wdusiła przycisk na poręczy i uniosła podgłówek łóżka o kilkanaście centymetrów. Potem oblizwała wargi. No dobrze, robię to dla dziecka, pomyślała, nabierając jak najmniej owsianki. Unosiła już łyżkę do ust, gdy uświadomiła sobie, że ma gościa.

Dobry samarytanin stał w drzwiach z bukietem różowych kwiatów w rękach i krzywym uśmiechem na twarzy.

Zniknął gdzieś całodzienny zarost, z którym wyglądał jak banita. Czyste, uczesane włosy były niezwykłą mieszanką złota i srebra. Był ubrany w bladoniebieską koszulkę i obcisłe dżinsy.

- Wygląda na to, że nie przepadasz za szpitalnymi specjałami - powiedział, ukazując zęby w oszałamiającym, choć krótkim uśmiechu.

Zdała sobie sprawę, że wpatruje się w niego zbyt intensywnie, więc szybko przeniosła wzrok na łyżkę i wstrząsnęła się.

- Nie mogę uwierzyć, że istnieją ludzie, którzy dobrowolnie jedzą coś takiego...

Uśmiechnął się, a ona znów zerknęła na niego i wstrzymała oddech. Wieczność minęła, odkąd jakiś mężczyzna wydał się jej tak atrakcyjny. Przez ten czas nauczyła się nie ufać tak nagłym i gwałtownym uczuciom. Mimo to serce biło jej mocno. Wygięła wargi w udawanym oburzeniu.

- Umieram z głodu, a ten człowiek się śmieje - poskarżyła się.

- Przepraszam. - Boyd podszedł bliżej.

Stacy poczuła, że wraca do życia. Po drugich miesiącach napięcia i strachu przyjemnie było znów się uśmiechać, nawet jeśli każdy ruch mięśni twarzy powodował ból.

- Wybaczam ci tylko dlatego, że wczoraj ocaliłeś mi życie.

- To pas bezpieczeństwa cię ocalił.

Nie marnowała sił na sprzeczkę. Przyjrzała się za to wspaniałym kwiatom, które Boyd trzymał w rękach.

- Jakie piękne hortensje...

Zmarszczył brwi i zauważyła bliznę nad jego prawym okiem.

- Tak się nazywają?

Skinęła lekko głową i spostrzegła, że wciąż trzyma łyżkę. Odłożyła ją na tacę i odsunęła od siebie.

- Na sam ich widok lepiej się czuję.

Uśmiechnęła się, a Boyd powędrował wzrokiem ku jej wargom. Przez moment zastanowił się, jaki mają smak. Pewnie jak nasączone słońcem poziomki, rosnące przy

wiejskiej drodze! Poczul, że się rumieni, więc zmarszczył czoło i spojrzal na kwiaty.

- Moze pielęgniarka przyniesie jakiś wazon - powiedziala Stacy, sięgając do dzwonka.

- Nie trzeba. To wystarczy. - Zanim zdążyła zaprotestować, wcisnął bukiet do dzbanka z wodą.

Potem, czując się trochę głupio, wsunął ręce w tylne kieszenie dżinsów i odstąpił o krok. Pora wracać do pracy.

- Cieszę się, że wpadłeś - stwierdziła, nim zdążył wyjść. - Chciałam cię spytać o tę dziewczynkę, która była taka miła. Heidi, czy tak?

Kiwnął głową.

- Co mogę ci powiedzieć? To samotny dzieciak. Ma za bogatą wyobraźnię i za mało tego, co powinni jej dawać rodzice.

- Chciałabym jakoś wyrazić jej swoją wdzięczność, gdy tylko... tylko... - zająknęła się, nabrała tchu. - Jak myślisz, co by chciała dostać?

Na dobry początek uśmiech Stacy Patterson, pomyślał.

- Nie mam pojęcia - przyznał.

- Myślałam o jakiejś płytce, ale nie wiem, jaką lubi muzykę.

- Nie znosi country, tego jestem pewien.

- Dlaczego?

- Bo zawsze krytykuje mój fatalny gust, kiedy słucham radia.

Uśmiechnęła się i na moment jej oczy rozbłysły. Myślał, że są zielone, a teraz dostrzegł w ich głębi odcień złota. Lśnił jak słońce latem, pomyślał. Chciałby ją przytulić do siebie i kąpać się w ciepłe jej słodkiego uśmiechu, póki na nowo nie poznałby znaczenia słowa „szczęście”.

- Moze się czegoś dowiem - powiedział niepewnie. - To znaczy, jaką lubi muzykę.

- Byłabym ci za to bardzo wdzięczna.

- To żaden problem. - Wyjął ręce z kieszeni i spojrzał na zegarek. - Muszę już iść...

Czy to rozczarowanie dostrzegł w jej oczach, czy ulgę, że się go pozbyła? Nigdy nie radził sobie z zabawianiem kobiet. Na uczelni to dziewczęta chciały go zabawiać - zwłaszcza te, które wiedziały, że będzie lekarzem, a zatem bogatym człowiekiem. Teraz miał normalną pracę z normalną pensją, lecz - do diabła - był nieciekawym jeszcze jako lekarz. Nawet Karen nieraz to powtarzała, ale wytrzymywała przy nim z powodów, których nigdy do końca nie zrozumiał.

Po jej śmierci przestało to być ważne, lecz teraz żałował, że nie potrafi żartować jak jego młodszy brat Ben, czy też flirtować jak jego przyjaciel, Luke Jarrod - żeby tylko wywołać uśmiech w tych poważnych teraz, szmaragdowych oczach.

- Jeszcze raz dziękuję za kwiaty. - Zanim odwróciła głowę w stronę bukietu, dostrzegł jakby lśnienie łez w jej oczach.

- Przykro mi z powodu twojego byłego męża.

- Mnie również.

- Mówiłaś, że był w szpitalu.

- Było ich dwóch... - Wciągnęła powietrze. - Okradali sklep w pobliżu naszego domu. Pobili sprzedawcę prawie na śmierć, gdy Len wszedł, żeby kupić papierosy. Był policjantem. Wyciągnął pistolet, ale chłopcy byli tacy młodzi... Czternastolatki.

Boyd zdusił przekleństwo. Blade wargi Stacy przez moment zadrżały w żalonym uśmiechu.

- Nikt nie wie, jak to się stało, ale to właściwie nieistotne. Ważne jest to, że jeden z chłopców uderzył Lena kijem baseballowym. Musiał go znaleźć za ladą. - Zamilkła, żeby

odchrząknąć. - Kiedy dojechałam do szpitala, Len był na sali operacyjnej. A gdy odzyskał przytomność... był kimś innym.

- Uszkodzenie mózgu? Kiwnęła głową.

- Wszyscy policjanci są zdolni do przemocy, inaczej nie byliby policjantami. Ci dobrzy mają instynkt i wyczuwają, co jest dobre, a co złe. To pozwala panować nad sobą, dopóki przemoc nie jest niezbędna. Po tym uderzeniu Len miewał napady, których nie umiał... opanować. A kiedy przychodziły, ranił ludzi.

- Bił cię? - Głos Boyda brzmiał zbyt ostro, ale nic nie mógł na to poradzić. Nie umiał powstrzymać gniewu na samą myśl o tym, co przeżywała Stacy.

- Z początku był niczym zagubione dziecko. Ale... później, kiedy fizycznie doszedł do siebie, miewał napady.

Przypomniała sobie wyraz lęku, który pojawiał się czasem w jego oczach, gdy myślał, że śledzi go jakiś bezimienny wróg bez twarzy. Czasami nocą siedział i czekał, pieszcząc w rękach broń. Westchnęła.

- Dwa razy posłałam go do zakładu. Raz, gdy przestał brać leki i zaczął pić, a potem znowu, pół roku później, kiedy zaczął pojawiać się w szkole, gdzie uczyłam. Kilka razy zachowywał się gwałtownie przy dzieciach, a kiedy groziłam, że wezwę policję, płakał i obiecywał, że już nigdy nie zrobi mi przykrości. Przez jakiś czas był ponownie sobą i już myślałam, że odzyskuje zdrowie. Ale kiedy odkryłam, że jestem w ciąży, wbił sobie do głowy, że to nie jego dziecko i...

- Zamilkła. Wspomnienia były zbyt żywe, zbyt bolesne.

- Przykro mi, Stacy.

- To nie jego wina. Wiem o tym. - Uśmiechnęła się z trudem. - Len zawsze chciał mieć córkę.

Boyd poczuł, że coś się w nim otwiera - coś, co już dawno uznał za zamknięte. Nagle pokój wydał mu się zbyt mały, zbyt ciasny. Głupio zrobił, przychodząc tutaj.

- Zostawię cię z tym śniadaniem - powiedział w miarę spokojnym tonem.

- Myślałam, że jesteś moim przyjacielem - mruknęła, zerkając znacząco na stygnącą owsiankę.

Pomyślał o tej przyjaźni i uznał, że ten pomysł podoba mu się bardziej, niż powinien.

- Wpadłem zobaczyć tylko, jak się czujesz. Ty i mała.

- Obie czujemy się dziś o wiele lepiej. Doktor Jarrod zabrał monitor, a Tory znowu szaleje. Może chce zostać w przyszłości gimnastyczką.

- Tory?

- Mhm. Skrót od Victorii.

- Ładne imię. Z klasą.

- Nie sądzisz, że trochę zbyt pompatyczne, jak na dzisiejsze czasy? - Westchnęła i mówiła dalej: - Autorzy wielu książek podkreślają, że imię jest ważne dla rozwoju osobowości dziecka.

- Nie, wcale nie jest pompatyczne.

Stacy dostrzegła, jak oczy Boyda gasną, jakby obawiał się przyjaźni, którą mu ofiarowała, i jej samej. Dlatego zdziwiła się, gdy nagle wyciągnął rękę i pogładził jej obolały policzek. Ten gest był tak czuły, tak intymny...

- Cieszę się, że dobrze się czujesz. Przełknęła ślinę.

- Ja też, możesz mi wierzyć.

- Dbaj o siebie i o Victorię - rzucił szorstko i ruszył do drzwi. Po chwili przystanął jeszcze i znieruchomiał, wpatrzony w białe linoleum, jakby szukał odpowiedzi na jakieś ważne pytanie.

Zawrócił nagle i pochylił się nad nią.

- Na szczęście - mruknął, a potem musnął wargami jej usta.

Sekundę później zamknął za sobą drzwi i odszedł szpitalnym korytarzem. Stacy była oszołomiona. Dopiero kiedy poczuła wilgoć łez na policzkach, zrozumiała, że płacze.

ROZDZIAŁ TRZECI

Stacy wciąż była senna, kiedy - po południu - dziwnie znajoma miedzianowłosa pielęgniarka zajrzała przez drzwi. Drobną kobietą w różowym fartuchu, różowych spodniach i żółtych tenisówkach nasuwała jej myśl o zimowym zachodzie słońca.

- Cześć, jestem Prudy Randolph. Spotkałyśmy się wczoraj na izbie przyjęć - powiedziała.

- Rzeczywiście, pamiętam - odparła Stacy i zaprosiła pielęgniarkę do środka. - Miałam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze. Pragnę ci podziękować.

Prudy wzruszyła tylko ramionami i uśmiechnęła się szeroko. Stacy od razu poprawił się humor.

- Jak się czujesz?

- Marnie. Nie cierpię szpitali.

- W takie dni ja też nie. Stacy roześmiała się.

- Możesz się schować u mnie. Obiecuję, że nikomu o tym nie powiem.

- To propozycja nie do odrzucenia. - Pielęgniarka przysunęła sobie jedyne krzesło i usiadła. - Boże, jestem całkiem wykończona - powiedziała i westchnęła głęboko. - A to jeszcze nie koniec pracy.

- Wygląda na to, że nieźle ci dokuczyły ofiary wypadków. Prudy zdmuchnęła z czoła kosmyk włosów i skrzywiła się.

- Owszem. Ostatni pacjent to ofiara ataku papugi.

- Ataku papugi?

- Ataku na właściciela. Przypadek młodzieńczego buntu plus rozbuchane hormony.

- Właściciel był nastolatkiem?

- Nie, papuga. - Prudy roześmiała się. - Był to samiec, oczywiście, niezbyt szczęśliwy, że trzymają go z daleka od bardzo atrakcyjnej i chętnej samicy.

- Naturalnie.

Prudy przygładziła dłonią włosy.

- Przepraszam, że tak narzekam. Czasami żałuję, że nie poszłam za radą matki i nie zostałam kasjerką w supermarkecie.

- Przynajmniej godziny pracy są dogodniejsze.

- Nie mówiąc o pensji.

Stacy parsknęła śmiechem, a potem jęknęła, gdy poczuła ból. Pielęgniarka zmartwiła się wyraźnie.

- Wciąż boli cię głowa? - Czekoladowe oczy przyglądały jej się z profesjonalną uwagą. - Nie wiesz, kiedy doktor Jarrod zamierza cię wypisać?

- Rano powiedział, że za trzy lub cztery dni, jeśli mój stan będzie się poprawiał i nie będzie ryzyka poronienia. - Westchnęła. - Trzymaj za mnie kciuki.

- Wygląda na to, że nie podobają ci się nasze luksusowe apartamenty. - Prudy udała urażoną.

- Nie stać mnie na luksusy ani nawet na klasę turystyczną. Nie jestem pewna, czy stać mnie na te chusteczki higieniczne.

Pielęgniarka zrobiła zdziwioną, a potem zakłopotaną minę.

- Jeżeli masz jakieś problemy, mogę zadzwonić do opieki społecznej.

Stacy poczuła gorący rumieniec na policzkach. Czowała się niezręcznie na samą myśl, że musiałyby prosić o pomoc.

- Nie martw się o mnie - odparła z uśmiechem, mającym sugerować, że ona wcale się niczym nie przejmuje. - Jestem przyzwyczajona do zmartwień. To mój chleb powszedni.

- Mówisz jak moja matka - stwierdziła Prudy, krzywiąc wargi. Oparła stopy o ramę łóżka i ziewnęła. - Przepraszam cię, to z powodu pracy na zmianę.

Z ulicy dochodziło coraz głośniejsze wycie syreny karetki. Gdzieś rozplakało się dziecko. Według salowej, która przyniosła śniadanie, izby porodowe były pełne.

- Piękne kwiaty - zauważyła Prudy, wskazując skinieniem głowy na bukiet. - Mam takie w ogródku. - Zmarszczyła brwi, a potem dodała zagadkowo: - Przynajmniej rosły na grządce, gdy wychodziłam z domu dziś rano.

Stacy poprawiła się na łóżku.

- Mój dobry samarytanin przyniósł mi je dzisiaj. Pamiętasz go? Ten, który przyjechał ze mną karetką.

- A tak, pamiętam go bardzo dobrze. Boyd MacAuley, wredny złodziej kwiatów.

- Znasz go?

- To mój sąsiad i zamierzam go zabić za to, że pozrywał moje wypieszczone skarby. Zabiję drania bez litości. - Westchnęła i spojrzała na Stacy. - To nie znaczy, żebym mu nie pozwoliła ich zerwać, byłoby jednak miło, gdyby mnie o to poprosił. Ale Boyd nie przestrzega żadnych konwenansów.

Stacy stoczyła bitwę ze sobą i przegrała. Przysłowie mówi, że ciekawość to pierwszy stopień do piekła, ale...

- Przypuszczam... że nie mieszka sam.

- Nie, mieszka z duchem.

- Słucham?

Prudy przeciągnęła się.

- Boyd od ponad trzech lat jest wdowcem, ale praktycznie rzecz biorąc, Karen wciąż mieszka w tym domu.

- Karen... była jego żoną?

- Z domu Waverly. Jej rodzina to właściciele młynów. Osiedle, na którym mieszkam, należało kiedyś do jej dziadka. Razem z połową Portland.

- Co się z nią stało?

- Miała wypadek samochodowy. Cóż by innego? - Prudy potrząsnęła głową i posmutniała nagle. - Karen była w ciąży. Jarrod próbował ratować dziewczynkę, ale biedny aniołek żył tylko parę minut dłużej niż matka. Potem Boyd po prostu

zamknął się w sobie. Przez pewien czas baliśmy się, że jego też możemy stracić.

Stacy przypomniała sobie poranną rozmowę z Boydem i to, jak się zmienił, gdy zaczęła mówić o dziecku. Nic dziwnego, że nagle skamieniał. Czowała zakłopotanie i współczucie.

- Miły z niego facet - mruknęła.

- Lubisz go, co?

Stacy usłyszała sympatię w głosie Prudy i uniosła głowę.

- Bardzo - przyznała, gdyż chyba nie warto było zaprzeczać. - Polubiłabym go nawet wtedy, gdyby nie przybiegł mi na pomoc.

- Stacy...

- Nie martw się, nie robię do niego słodkich oczu - uspokoiła pielęgniarkę, której wyraz twarzy sugerował szczerą troskę. - Moje romantyczne marzenia o rycerzu w srebrnej zbroi dawno się już rozwiały.

- Tak bywa. - Przejmujący smutek pojawił się i zniknął z oczu kobiety. Zaraz potem poderwała się i uśmiechnęła do Stacy. - Nie mam na to ochoty, ale lepiej będzie, gdy wrócę do naszego zoo. Zwierzaki już się pewnie niepokoją.

Stacy zaśmiała się i spojrzała na Prudy ze współczuciem. Prudy odwróciła się i puknęła nagle w czoło.

- O rany, prawie zapomniałam, po co tu przysłam - mruknęła i pokręciła głową. - Wczoraj zadzwoniłam do kierowniczkę szkoły, gdzie miałaś pracować. Kazała cię pozdrowić i przekazać, że nie musisz się spieszyć do pracy. Czy była mowa o stałym etacie od września? Chyba nic z tego nie wyszło, więc jesteś wolna. Pomyślałam, że powinnaś o tym wiedzieć. Nie ma nic gorszego, niż leżeć w łóżku i myśleć, że cały świat się rozpada, a ty nie możesz tego powstrzymać. Jest wolna? Raczej na bruku... Stłumiła falę rozczarowania i zastanowiła się, dlaczego w takich

tragicznych chwilach zawsze chce jej się śmiać. To pewnie histeria. Delikatnie mówiąc, fakt, że szkoła nie miała wolnego etatu, z pewnością nie był dobrą wiadomością.

- Z deszczu po rynnę - szepnęła i nagle poczuła się tak, jakby wewnątrz też miała poobijane.

- Złe wieści? - spytała miedzianowłosa pielęgniarka. - O rany, strasznie mi przykro... - Machnęła ręką. - Powrót do pracy to zwykle spore zmartwienie, więc miałam nadzieję, że trochę cię ta wiadomość uspokoi. - Zniechęcona, spojrzała w sufit. - Dobra robota, Prudy. Umiesz dobić pacjenta złymi wiadomościami. - Znowu spojrzała na Stacy. - Jarrod obedrze mnie ze skóry.

Stacy nie mogła powstrzymać się od śmiechu, choć na nowo wzbudziło to ból głowy.

- Nie martw się o mnie. W normalnej sytuacji uspokoiłaby mnie wieść, że nie jestem rozpaczliwie potrzebna w pracy.

- Ale sytuacja nie jest normalna?

- A kiedy jest? - odparta Stacy lekceważącym tonem, lecz wcale nie było jej lekko. - Kobiety są silniejszą płcią, więc jakoś to przeżyję.

Główne pytanie w tej chwili brzmiało: jak przeżyć, pomyślała po wyjściu Prudy. Miała nadzieję na regularną pensję, gwarantowaną przez stały etat, a także ubezpieczenie dla siebie i dziecka. Teraz nie miała niczego. Każda godzina spędzona w szpitalu kosztowała ją fortunę, której ani nie posiadała, ani nawet się nie spodziewała.

Zmęczona, przymknęła oczy, lecz troska, od pół roku stała towarzyszką, nie opuściła jej i teraz, przypominając, że musi myśleć o tym, jak wykarmić jeszcze jedną osobę.

Łagodnie przycisnęła dłoń do brzucha i próbowała wyobrazić sobie twarz dziecka. Len był niesamowicie przystojny: miał czarne włosy i jasnoniebieskie oczy. Jej oczy

były orzechowe, chyba że ubrała się na zielono - wtedy miały kolor mchu.

Ludzie zawsze zachwycali się jej oczami i gęstymi rzęsami. To jej główny atut, twierdzili. Więc ten jedyny fizyczny atrybut chciałyby przekazać córce. Cała reszta była minimalnie powyżej średniej, prócz wzrostu - osiem centymetrów poniżej średniej krajowej.

Nie. Victoria będzie wysoka i szczupła. Nie odziedziczy po matce ani figury, ani sposobu poruszania się.

Uśmiech pojawiający się zawsze, gdy Stacy myślała o córce, zbladł nagle, zastąpiony zmarszczką zmartwienia na posiniaczonej twarzy. Miała na koncie dokładnie dwieście dwadzieścia sześć dolarów, wynajęte maleńkie mieszkanie, opłacone tylko do końca miesiąca, i walizkę pełną ubrań dla siebie i dziecka. Wszystko co zostało w domu, w Wenatchee Falls, przepadło. Spłonęło w pożarze, który Len rozniecił po ich rozstaniu.

Och, Tory, co my teraz zrobimy? jęknęła w duchu, gładząc palcami miękką wypukłość brzucha. Nawet jeśli szybko wróci do zdrowia, minie co najmniej tydzień, nim zdoła wejść do klasy, nie przerażając przy tym dzieci. Co gorsza, rok szkolny wkrótce się kończy. Będzie więc musiała żyć bez tych skromnych zarobków, jakie otrzymywała.

Myśl o tym, że musiałaby pokonać swoją dumę i zwrócić się o zapomogę, odbierała jej spokój. Ale co jeszcze może zrobić, jeśli nie uda jej się znaleźć pracy? Była jedynaczką, a rodzice nie żyli.

Poczuła łzy zbierające się w oczach. Potrzebny był jej plan działań, strategia, która pozwoli przetrwać najbliższe trzy miesiące, kiedy dziecko będzie już miało sześć tygodni.

Myśl, ponagliła samą siebie. Użyj tej swojej - podobno błyskotliwej - inteligencji i wymyśl coś... genialnego. Nie, niech to będzie pomysł przede wszystkim sensowny.

Dziesięć minut później usłyszała pukanie do drzwi. Niechętnie otworzyła oczy i zobaczyła w progu wyraźnie zakłopotanego policjanta. Przez chwilę miała wrażenie, że to Len powrócił z zaświatów, by z niej drwić.

- Pani Patterson? Jestem sierżant Klein z komisariatu w Portland, z wydziału ruchu drogowego. Czy czuje się pani na siłach złożyć zeznania w sprawie wczorajszego wypadku?

Odetchnęła z ulgą i spróbowała uporządkować myśli.

- Niewiele jest do opowiadania. Mój były mąż jechał zbyt szybko, stracił panowanie nad kierownicą i... zginął. Nazywał się Leonard Patterson. Był policjantem na rencie, z Wenatchee Falls w stanie Waszyngton.

Sierżant zbliżył się do jej łóżka.

- Wiem, proszę pani. Mamy jego prawo jazdy i zeznania świadka wypadku, doktora MacAuleya, ale...

- Pan MacAuley jest stolarzem, nie lekarzem, sierżancie. - Znowu zobaczyła smukłą sylwetkę Boyda, gdy pochylał się nad nią. Takie mięśnie powstawały tylko na skutek ciężkiej pracy fizycznej.

- Być może zajmuje się również stolarstwem, ale pokazał mi dowód tożsamości, stwierdzający, że jest lekarzem.

Stacy zmarszczyła brwi i pomyślała o nucie pewności w głosie Boyda, o jego słownictwie. Powiedział „w macicy”. Wtedy nie zauważyła, że użycie takiego słowa nie pasuje do człowieka zajmującego się stolarką.

- Może się pomyliłam - przyznała.

Sierżant przestąpił z nogi na nogę i zerknął na trzymaną w rękę żółtą kartkę.

- Zgodnie ze znalezionym w samochodzie dowodem rejestracyjnym, transam był wspólną własnością pani i pani byłego męża. Zgadza się?

- Nie wiem. Myślałam, że Len przerejestrował wóz. Klein kiwnął głową i znów zajrzał do notatek.

- Jest opłata za holowanie - oświadczył, unosząc głowę. - Po wygaśnięciu ubezpieczenia musimy obciążyć właściciela. Musi pani zapłacić sto siedemdziesiąt pięć dolarów.

Stacy otworzyła usta i wstrzymała oddech. To chyba jest jakiś zły sen, pomyślała rozpaczliwie.

- Proszę zostawić rachunek. Jak tylko wrócę do domu, wyślę czek.

- Tak, proszę pani. - Ale zamiast wręczyć jej kwit, mężczyzna wciąż stał sztywno i nieruchomo.

- Czy jeszcze coś chce mi pani powiedzieć? - spytała. Policjant rozejrzał się, jakby szukał pomocy.

- Eee... Chodzi o opłatę za parking.

- Ile?

- Dwadzieścia pięć dolarów dziennie.

Stacy nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

- Niech pan zostawi te rachunki. I proszę mi zrobić przysługę, dobrze? Wywalcie ten wrak natychmiast.

Młody policjant położył kartkę papieru przy łóżku obok kolorowego bukietu i uciekł. Jeszcze przez długi czas Stacy nie mogła powstrzymać drżenia.

ROZDZIAŁ CZWARTY

- Proszę cię, proszę, odbierz - błagała szeptem Stacy, ale telefon tylko dzwonił i dzwonił. Kiedy miała już wrażenie, że słuchawka klei się jej do ucha, zrezygnowała.

- Nie ma nikogo w domu?

Głos był chrapliwy i znajomy. Jej serce zabiło szybciej, zanim jeszcze spojrzała na mężczyznę, który wymówił te słowa.

Boyd stał w drzwiach, wyraźnie zakłopotany, jakby niepewny, czy Stacy ucieszy się na jego widok. Czy to przez ten pocałunek? Czyżby żałował impulsu, którym okazał jej sympatię? Czy spodziewał się, że będzie zła, i chciał ją przeprosić?

Poczuła, że się rumieni na samą myśl o wargach Boyda, dotykających znowu jej ust. Wstrzymała oddech, a potem westchnęła. Nie powinna tak się rozklejać na wspomnienie jednego pocałunku.

- Nie ma nikogo - powtórzyła za nim, uśmiechając się z ogromnym wysiłkiem. - Dzwoniłam do sąsiada z dołu. Chciałam go poprosić, żeby przywiózł mi torebkę i niektóre rzeczy z mojego mieszkania. - Machnęła ręką, by okazać, że to nieważne. - Spróbuję znowu.

Kiwnął głową i podszedł bliżej, wnosząc ze sobą aromat świeżego powietrza. Pognieciona ciemnoniebieska koszulka i wytarte džinsy wskazywały, że przyszedł prosto z pracy. Powinien się ogolić, zauważyła; ciemna szczecina sprawiała, że jego rysy wydawały się ostrzejsze.

- Jak się czujesz? - zapytał, stawiając na tacy przy łóżku małą brązową torbę.

- Psychodelicznie - odparła, wskazując wielobarwne sińce wokół oczu. - Szkoda, że to nie Halloween. Nie musiałabym pożyczać maski.

- Za tydzień będziesz wyglądać normalnie.

- Wystarczy: znośnie - odrzekła ze smętnym uśmiechem, który poruszył igłę bólu w prawej skroni. - Au... - mruknęła i delikatnie przyłożyła palce do bolącego miejsca. Uniósła lekko powieki i zobaczyła, że Boyd się jej przygląda. - Wszyscy mi powtarzają, że mam być ostrożna, ale kto by pomyślał, że zwykły uśmiech może być niebezpieczny?

- To zależy, kto się uśmiecha. - Spojrzał na jej wargi, zmarszczył czoło i zerknął na drzwi, jakby szukał drogi ucieczki.

Ten mężczyzna, tak opanowany po wypadku, nie może przecież być nieśmiały...

- Może... może byś usiadł?

- Chętnie. Mogę zostać tu przez parę minut - powiedział po chwili, która zdawała się trwać wiecznie. Przysunął sobie krzesło.

- To dla mnie? - spytała, dotykając torby z reklamą sławnych podwójnych hamburgerów Maca i Joego. Na myśl o normalnym jedzeniu ślinka napłynęła jej do ust.

- Tak. Pomyślałem, że masz już dość szpitalnej kuchni.

- Miałaś rację - przyznała. - Cztery dni monotonnego jedzenia bez smaku, to już przesada. Nawet jeśli to zdrowe dla mnie i dla Tory. - Nie próbując ukryć apetytu, otworzyła torbę i wciągnęła w nozdrza cudowny zapach hamburgera. Odetchnęła głęboko i wyjęła z torby ciepłą bułeczkę. - Ambrozja - wymruczała, przełknąwszy pierwszy kęs.

Cheeseburger naprawdę smakował wspaniale. Stacy żałowała, że nie ma do niego kapusty, a na deser podwójnej porcji miętowych lodów z polewą.

Świadoma, że Boyd patrzy na nią uważnie, zmusiła się, by zjeść wszystko, choć żołądek trochę się przeciw temu buntował. Nie chciała być niewdzięczna. Wytarła wargi serwetką.

- Gdybym była kotem, zaczęłabym mrużyć - zapewniła Boyda z nadzieją, że uśmiechem wyrazi całą głębię wdzięczności.

- Jak czuje się mała?

Pytanie było jakby przypadkowe, ale oczy Boyda błysnęły, gdy przesunął wzrokiem po jej brzuchu.

- Dziś jest bardzo spokojna - odrzekła Stacy. - Doktor Jarrod mówił mi rano, że ma szczęście do wcześniaków.

- Dłonie drżały jej lekko, kiedy wrzuciła serwetkę do torby.

- Oczywiście szanse byłyby większe, gdybym donosiła ją do dziewiątego miesiąca.

Boyd słyszał drżenie w głosie Stacy i dostrzegł łzy w jej oczach. Ledwie mógł się powstrzymać. Choć próbował, nie potrafił znieczulić się na cudze cierpienia, co było jednym z powodów, że stał się lepszym stolarzem niż lekarzem.

Zakłopotany i zdenerwowany, zmienił pozycję, zakładając nogę na nogę. Parę godzin siedzenia na takim plastikowym krześle nawet bohatera skłoniłoby do zeznań, pomyślał. A on nie był wcale bohaterem.

- Jarrod jest znakomitym lekarzem - stwierdził i naprawdę tak myślał. - Jeśli ktoś może utrzymać małą tam, gdzie jej miejsce, to tylko on.

- Tak, wszyscy mi to mówią.

- Ale ty w to nie wierzysz?

Westchnęła głęboko i wyprostowała szczupłe ramiona, na których lepiej wyglądałby jedwab niż szpitalna bawełna.

- Wierzę. Muszę w to wierzyć. Inaczej...

Znowu westchnęła głęboko. Wyraźnie próbowała się opanować. Mruganiem powiek chciała powstrzymać łzy, ale chyba było ich zbyt wiele.

Boyd poczuł suchość w gardle. Jej wątły uśmiech rozbijał mury, którymi się otoczył. Co gorsza, miał ochotę obejmować

to biedne posiniaczone ciało, póki Stacy się nie uspokoi. Powstrzymywało go wspomnienie ostatniej kobiety, którą trzymał w ramionach.

- Gdzieś tu powinny być chusteczki - szepnęła, wycierając mokre policzki palcami.

Boyd pochylił się, wyjął jedną z pudełka stojącego na metalowej szafce.

- Wytrzyj nos. - Podał jej chusteczkę.

- Poszłam kiedyś do wróżki wierzącej w reinkarnację - oznajmiła między dwoma głośnymi dmuchnięciami. - Powiedziała, że jestem starą duszą, zatem mogę dość intensywnie przeżywać różne rzeczy. - Wrzuciła chusteczkę do kosza.

Boyd usłyszał brzęk roznoszonych tac z kolacją i uświadomił sobie, że siedzi tu dłużej, niż planował. Zerknął na zegarek i już postanowił się pożegnać, kiedy weszła Maureen Schultz - stanowcza i fachowa pielęgniarka, która każdemu niemal zachodziła za skórę.

Zobaczyła go przy łóżku Stacy i uśmiechnęła się kpiąco.

- Wielkie nieba, czyżby doktor MacAuley zaszczyił nasz szpital swoją obecnością?

Powiedziała to dość lekkim tonem, ale Boyd wyczuł nie wypowiedziane pytanie. Czy wciąż jest w żałobie i miewa senne koszmary? Dlaczego, do diabła, nie odpowiada na telefony przyjaciół?

- Nadal terroryzujesz stażystów? - zapytał, wstając.

- Tylko leniwych. - Uśmiechając się, rozwinęła opaskę do mierzenia ciśnienia i podeszła do Stacy, która posłusznie wyciągnęła rękę. - Uwierzyłaby pani, że ten przystojniak był kiedyś najbardziej obiecującym chirurgiem?

- Wiem, jaki jest opanowany w nagłych wypadkach. Boyd zerknął na pielęgniarkę i zgrzytnął zębami. Podeszedł do okna i wyjrzał na parking. Srebrzysta mgła pokrywała

ustawione w rzędach samochody. Ile osób przyjechało tu dzisiaj, by odwiedzić kogoś prawie obcego? Kilka? Dwie? Może jedna?

Choć jest cynikiem, martwi się i troszczy o drobne, smukłe kobiety z problemami. I co z tego? Martwi się też o zaniedbywane przez rodziców dzieciaki, takie jak Heidi. Ale, do licha, zarabia na życie wbijaniem gwoździ, a nie działalnością w opiece społecznej.

Kiedy skończy pracę w Astorii, pójdzie gdzie indziej, a Heidi znajdzie sobie innego troskliwego przyjaciela, którego będzie potrzebować w chwilach samotności. Kiedy zbledną sińce, Stacy powróci do swojego domu i zniknie z jego myśli. A gdy to nastąpi, obojgu im wyjdzie to na dobre.

- Były jakieś skurcze od ostatniego razu? - usłyszał pytanie pielęgniarki.

Obejrzał się i zdążył jeszcze zobaczyć, jak oczy Stacy zachodzą mgłą.

- Był jeden, bardzo słaby. Przypominał raczej ukłucie.

- Jak dawno? - zapytał, zauważając pełne uznania spojrzenie Maureen Schultz.

- Mniej więcej dwie godziny temu... - przyznała Stacy, po czym dodała szybko: - Ale nie należy się tym martwić, prawda?

Boyd położył rękę na karku i zaczął masować obolałe mięśnie.

- Jak ktoś mi kiedyś powiedział, martwienie się jest najbardziej bezużyteczną emocją.

Pielęgniarka skończyła mierzyć ciśnienie, zdjęła opaskę i poklepała Stacy po ramieniu.

- On ma rację, pani Patterson. Teraz powinna pani wypoczywać.

- Mam wrażenie, że nic innego tutaj nie robię.

- Nie ma się co przejmować tymi skurczami. -
Pielęgniarka uśmiechnęła się. - Czuje je pani, bo dziecko się przewraca.

- Próbuję się nie martwić. - Stacy wygładziła kołdrę na brzuchu.

Pielęgniarka skinęła głową i spojrzała na Boyda.

- Doktor Ivans pod koniec roku odchodzi na emeryturę.

- Życzę mu szczęścia.

Maureen Schultz skrzyżowała ramiona i spojrzała badawczo na Boyda.

- Podobno zaproponował ci przejęcie praktyki, jeśli tylko wrócisz tu na stałe.

Boyd uśmiechnął się.

- Odkąd to takie inteligentne osoby jak ty słuchają plotek?
Maureen westchnęła ciężko. Stacy rozumiała jej irytację.

Najwyraźniej upór Boyda MacAuleya dorównywał jego łagodności.

- Poddaję się - mruknęła i zwróciła się do Stacy: - Czy czegoś pani potrzeba?

Stacy miała ochotę wyrecytować długą listę, zaczynając od pieniędzy na czynsz, a skończywszy prośbą o odrobinę czułości.

- Nie, dziękuję - odparła i przywołała na twarz uśmiech wdzięczności.

- W razie czego proszę dzwonić - poradziła jej pielęgniarka i wyszła.

Boyd stał przez moment, patrząc na drzwi. Potem zerknął na Stacy. Potrafiła tak spoglądać na mężczyznę, że czuł pokusę, by ułożyć głowę na jej miękkich piersiach i wyznać wszystkie swoje sekrety.

- Mam wrażenie, że twoja przerwa w praktyce lekarskiej nie spotkała się z powszechną aprobatą - powiedziała cicho.

- To nie jest przerwa. Zrezygnowałem z wykonywania swego zawodu.

- Dlaczego?

- Dla dobra moich pacjentów. Skarciła go wzrokiem.

- Myślę, że byłeś świetnym lekarzem.

Boyd poczuł, jak coś boleśnie ściska mu pierś. Słyszał brzęk tac, głosy pacjentów i sanitariuszy. Powietrze wypełniał aromat jedzenia zmieszany z ostrym zapachem lekarstw.

Boże, nienawidził tego miejsca, tych widoków, zapachów. To poczucie winy... Serce biło mu mocno; chciał stąd uciec. Odchrząknął i ułożył usta w coś, co miało być uśmiechem.

- Uważaj na siebie.

- Dobrze. Dzięki, że przemyciłeś tu trochę jedzenia. Było boskie. - Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie ma sprawy. - Skinął głową, jeszcze raz spróbował uśmiechnąć się i wyszedł. Szybko. Zanim dotarł do windy, przekonał sam siebie, że już tu nie wróci.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Boyd obudził się nagle. Serce biło mu mocno, a ciało miał złane potem. Otworzył oczy, lecz dopiero po kilku sekundach upewnił się, że jest w swojej sypialni, leży na brzuchu we własnym łóżku i obejmuje poduszkę.

Na dworze było jeszcze ciemno, kiedy odwrócił głowę, dojrzał księżyc w pełni. Zerknął na budzik. Minęła czwarta.

Nie był pewien, jak długo trwał jego sen. Ale wiedział, że w tym śnie kochał się ze Stacy. I Bóg świadkiem, że nadal był rozgorączkowany i rozmarzony.

To akurat go nie zaskoczyło, gdyż myślał o niej, kładąc się do łóżka. Zastanawiał się, czy ciało tej kobiety jest tak miękkie, jak na to wygląda. Marzył o jej piersiach, dotykających jego skóry, piersiach nabrzmiąłych od mleka.

Nie powinien jej całować. Zaciskał zęby na wspomnienie jedwabistego dotyku warg Stacy. Powtarzał sobie, żeby myśleć o czymś innym, cokolwiek prócz pragnienia, by znowu poczuć ich smak. We śnie jej usta były z początku delikatne i pełne wahania, potem otworzyły się chciwie na pierwszy dotyk języka.

Jęk wyrwał mu się z gardła. Przewrócił się na bok, lecz tarcie sztywnego ciała o pościel tylko pogorszyło sytuację. Wciąż rozpamiętując pocałunek, zamknął oczy i zmusił się, by zasnąć.

Po raz pierwszy od lat Boyd zasnął. Było już prawie wpół do ósmej, gdy wyszedł z łazienki. Przeszedł przez hol do sypialni, narzucił kapę na zgniecioną pościel i wypił kawę, którą zostawił wczoraj w ekspresie.

Spojrzenie na zegarek w drodze do kuchni kazało mu zapomnieć o śniadaniu. Kolejne spojrzenie, gdy wypłukał kubek i położył go na suszarce, wykazało, że będzie w pracy spóźniony o trzy kwadransy. Nie jest tak źle, uspokoił się i wziął z tacy banana. Spokojnie to nadrobi, zostając dłużej.

Stolarz nie zyska dobrej reputacji, jeśli klienci nie będą zadowoleni. A jeśli nie zarobi na życie, nie spłaci też całej góry kredytów, które zaciągnął, by skończyć akademię medyczną.

Po ich spłaceniu zamierzał sprzedać dom i wyjechać na południe. Może do Kalifornii, może do Meksyku. Gdzieś, gdzie nie pada przez dziewięć miesięcy w roku. Tam, gdzie nie będzie się potykał o wspomnienia tego, co utracił. Gdzieś, gdzie słońce wypali chłód z jego kości, a on wymyśli, jak przeżyć resztę dni swego życia.

Deszcz nieco zelżał, lecz niebo na zachodzie wciąż było ciemne, a powietrze mocno pachniało wilgocią. Szedł w stronę parkingu, gdy z domu wybiegła Prudy, ubrana w czerwoną pelerynę.

- Pomóż mi! - krzyknęła, nie przejmując się uprzejmościami.

Dostrzegł napięcie na jej twarzy i serce zabiło mu szybciej. Od razu pomyślał o Stacy i poczuł, że ogarnia go lęk.

- Co się stało? - Był zdumiony, że mówi to tak spokojnie.

- Autobus wpadł w poślizg i uderzył w drzewo.

- Są ofiary? - Znał odpowiedź, zanim jeszcze zapytał. Miał tylko nadzieję, że nie siedziały w nim dzieciaki.

- Zdaje się, że sporo. - Westchnęła. - Mój pech, że mam dyżur przy telefonie.

- Nie mów, że nie mając dyżuru, zostałąbyś w domu.

- A ty?! - Spojrzała na niego zirytowana.

Skurczył się wewnętrznie na wspomnienie swojego ostatniego dyżuru przy telefonie. Wtedy po raz ostatni stał przy stole operacyjnym.

- W czym mogę ci pomóc? - spytał szorstko.

Jeśli Prudy zauważyła jego napięcie, nie dała tego po sobie poznać. Sięgnęła do kieszeni peleryny i wyjęła złożoną kartkę.

- Obiecałam Stacy Patterson, że wpadnę do jej mieszkania i wezmę parę rzeczy.

- A co z sąsiadem z dołu?

- Chyba nie mogła się dodzwonić - odparła i wcisnęła mu kartkę do ręki. - Tu masz adres i listę rzeczy. Mieszka na pierwszym piętrze; drzwi są otwarte. Jak zrozumiałam, ten szurnięty były mąż nie zostawił jej czasu, żeby mogła je zamknąć.

Boyd miał ochotę odmówić, ale zamiast tego wcisnął kartkę do tylnej kieszeni i podążył chodnikiem za Prudy.

- Jak ona się czuje?

- Tak dobrze, jak to możliwe w jej sytuacji. - Zmarszczyła brwi i spojrzała na Boyda zniechęcona. - Jej teściowie zgłosili się wczoraj po ciało, a potem spędzili ze Stacy cudowne pół godziny, oskarżając ją, że doprowadziła ich synalka do śmierci.

Boyd mruknął jakąś mało pochlebną opinię o Pattersonach.

- Nie wiesz, kiedy Jarrod chce ją wypisać? - spytał, kiedy dotarli na parking.

- Pojutrze, jeśli jej stan będzie się poprawiał.

Jeśli, pomyślał, otwierając przed Prudy drzwi jej starego volvo. Nienawidził słowa „Jeśli”.

Adres wskazywał na najstarszą dzielnicę miasta i faktycznie na taką wyglądała. Dom od frontu był brzydkim piętrowym budynkiem koloru błota. Drewniane części pomalowano paskudną zieloną farbą, która łuszczyła się niczym łupież, odsłaniając musztardowy podkład.

Zajechał samochodem od tyłu. To, co kiedyś było garażem na dwa samochody i mieszkaniem dla służby na górze, zmieniło się w przybudówkę z dwoma mieszkaniami. Między domem a garażem rozciągał się wąski zaniedbany trawnik.

Boyd zaparkował obok płotu, wysiadł i przeskakując po dwa krzywe schodki, wbiegł na górę. Zauważył przepelnioną skrzynkę pocztową: głównie były to ulotki reklamowe. Zabrał je ze sobą.

Tak jak mówiła Prudy, drzwi nie były zamknięte. Mieszkanie składało się z jednego dużego pokoju z wnęką kuchenną po jednej stronie i czegoś, co uznał za łazienkę, po drugiej. W kącie stała deska do prasowania, a obok do połowy wypełniony kosz z praniem.

Światło wpadało przez cztery małe okna, po jednym w każdej ze ścian, na których wisiały oprawione w ramki reklamy biur podróży. Pachniało świeżą farbą, położoną na starym tynku, meble były zniszczone i nie dopasowane do siebie. Naprzeciw brązowej kanapy, która wyraźnie służyła jako łóżko, stały dwa krzesła. Na oparciu wisiał afgański pled przypominający tęczę.

Boyd przeszedł do kuchni; jego buty stukały głucho na nierównej drewnianej podłodze. Mniej więcej połowa szafek pomalowana została jaskrawą żółtą emalią, a obok, na gazecie, leżały sztywne, posklejane pędzle. To ten sam kolor, jaki widział na poplamionej odzieży Stacy w dniu wypadku.

Minęła chwila, gdy uświadomił sobie, że wzruszyła go ta odważna próba rozjaśnienia ponurego pokoju. Miał wrażenie, że gdyby miała pod dostatkiem czasu i farby, uczyniłaby to miejsce roziskrzonym i jasnym jak słoneczny dzień. Oto jej własne gniazdko, pomyślał, sięgając po listę.

Tylko nauczycielka mogła pisać tak wyraźnymi literami. Przypominały mu nudne przedpołudnia w szkole, kiedy marzył, żeby wyjść na dwór. Ale jego pierwsza nauczycielka miała głos foki, do której zresztą była podobna. Tymczasem głos Stacy był melodyjny i zaskakująco niski, jak na tak drobną kobietę. A kiedy się uśmiechała, Boyd czuł się

natychmiast młody i silny, gotów zabijać smoki dla ukochanej kobiety.

Podniósł głowę i dostrzegł smętnie wyglądające biurko. Brązowa torebka leżała obok fotografii w ramce. Zdjęcie przedstawiało młodszą Stacy w bikini, ściskającą puszystego białego kociaka.

Musiała mieć wtedy najwyżej osiemnaście lat. Zielone oczy skrzyły się młodością i niewinnością, a różowe wargi były lekko rozchylone, jakby zaczynała się śmiać. Włosy miała dłuższe: lśniły, opadając na jej opalone ramiona.

W jej pozie nie było nic prowokacyjnego, a jednak Stacy wyglądała niezwykle seksownie. Wtedy i teraz. Sama myśl, że mógłby trzymać to ciało w ramionach, była ekscytująca. Tylko co potem, MacAuley? Powiesz jej, że interesował cię tylko seks? Miałby to być szybki romans z jeszcze szybszym pożegnaniem? Rzeczywiście, to byłoby zachowanie z klasą, zwłaszcza po tym, co przeszła.

Zniechęcony, szarpnął górną szufladę komody i znalazł bawełnianą białą bieliznę, roztaczającą delikatny kwiatowy zapach, bardzo kobiecy i odrobinę prowokacyjny.

Dreńczący mężczyznę, który zbyt długo był sam, pomyślał Boyd. Wziął jeden komplet i poszukał wzrokiem walizki. Znalazł ją na górnej półce w szafie i przeniósł na kanapę.

Otworzył walizkę, wrzucił bieliznę i wrócił do komody.

Szybko znalazł nocne koszule, jedną długą, flanelową, drugą krótką, półprzejrystą, obszytą koronką. Wyobraził sobie ją w obu i wybrał krótką. Nie dlatego, że oczyma duszy widział zarys piersi pod śliskim materiałem, lecz dlatego, że było zbyt ciepło na noszenie flaneli. Zresztą, niech będzie; ta skąpa nocna koszula była w idealnym odcieniu, by wydobyć złocisty odcień jej oczu.

W łazience znalazł biały frotowy szlafrok, zabawne pasiaste kapcie, przybory toaletowe i włożył to wszystko do

walizki. Raz jeszcze sprawdził listę, dorzucił torebkę, pocztę i zamknął wieko.

Wypaczone przez lata wilgotnych zim, drewniane drzwi nie miały rygla ani wizjera. Wcisnął guzik w gałce, wyszedł na podest i zatrzasnął je za sobą. Sprawdził zamek, ruszył schodami w dół i zwolnił na widok grubego, podobnego do ropuchy mężczyzny, zagląającego podejrzliwie do kabiny jego furgonetki.

- Mogę w czymś pomóc, przyjacielu? - zawołał Boyd, zbiegając ze schodów lekkim krokiem.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na niego parą małych czarnych oczu osadzonych w zaczerwienionej twarzy. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, posturę emerytowanego zapaśnika, cuchnął potem i tanim tytoniem.

- Twój wóz? - zapytał chrapliwym, pijackim głosem.

- Pewnie tak, jeśli jest zarejestrowany na moje nazwisko. Po chwili namysłu mężczyzna skinął zarośniętą brodą w stronę wyblakłego znaku, przybitego do muru obok wozu Boyda.

- Tam jest napisane, że to parking dla lokatorów.

- Przepraszam. Myślałem, że to miejsce należy do mieszkańców pierwszego piętra.

- Należy. Ale nie do pana.

- Nie ma sprawy, już odjeżdżam. - Boyd postawił walizkę i otworzył drzwiczki.

- Jest pan przyjacielem pani Patterson? Boyd sięgnął po kluczyki.

- Możliwe. A czemu chce pan to wiedzieć?

- Mam swoje powody. To moja chałupa. Nie chcę, żeby ktoś się tu włamywał i okradał moich lokatorów, nawet takich jak pani Patterson, która nie ma nic, co warto ukraść.

Boyd przypomniał sobie zapuszczony pokój na górze. Miała szczęście, że jakiś dzieciak z ulicy nie sprawdził drzwi.

A jeszcze większe, że ten zarośnięty osioł nie sprzedał wszystkiego, co tam znalazł, meldując potem o kradzieży.

- Powiem pani Patterson, że pan o nią pytał - powiedział. Odporny na sarkazm w głosie Boyda, a może zbyt pijany, by go zauważyć, właściciel domu spojrzał znacząco na walizkę.

- Jeśli pan nie kradnie, to czemu pan to wynosi?

- Pani Patterson jest w szpitalu i potrzebuje paru rzeczy.

- Pozbyła się tego dzieciaka, co? - Mężczyzna parsknął śmiechem. - Tak myślałem, że prędzej czy później to zrobi.

- Źle pan myślał. - Boyd wyzywająco oparł ręce na biodrach. - Pani Patterson była ranna w wypadku samochodowym.

- A to mnie nie dziwi. Pamiętam, jak ten jej chłopak dał czadu. Niemal walnął w mój wóz. Chciałem zadzwonić po gliny.

Boyd poczuł, jak zaciska zęby.

- Nie przyszło panu do głowy, że pani Patterson może mieć kłopoty? - Zacisnął zęby.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Nie jestem w straży obywatelskiej.

- Przekażę pańskie pozdrowienia, kiedy znów ją zobaczę - rzucił Boyd i wsiadł do samochodu.

Tłuste wargi mężczyzny wykrzywiły się w uśmiechu.

- Jasne, czemu nie? Niech pan jej powie, że wypadek wypadkiem, ale pierwszego czekam na czynsz.

- Widzę, że szczerze jej pan współczuje. - Boyd zatrzasnął drzwiczki i przekreślił kluczyk w stacyjce.

Poprzez warkot silnika mężczyzna krzyknął coś niewyraźnie.

- Mnie też miło się z panem rozmawiało! - wrzasnął w odpowiedzi Boyd, a potem wrzucił wsteczny bieg. Był naprawdę rozczarowany, że drań zdołał odskoczyć.

Była już prawie szósta trzydzieści, gdy Boyd wysiadł z windy naprzeciwko dyżurki pielęgniarek. Nie znał ani kobiety w różowym fartuchu, pracownicy wprowadzającej jakieś dane do komputera, ani stażysty popijającego z wielkiego kubka gorącą kawę.

Przypomniawszy sobie swój rok stażu - dwanaście miesięcy ciężkiej pracy za głodową pensję. Zamiast satysfakcji, której spodziewał się po latach wyczerpujących studiów, przeżył piekło. Miał nadzieję, że ten stażysta dysponuje środkami, które pozwolą mu przetrwać. Albo ma żonę, która go utrzyma. Jak robiła to Karen.

Pieniądze pochodziły od jej ojca, Kerwina Waverly, który nigdy nie wybaczył Boydowi, że odrzucił sześciocyfrowy prezent ślubny. To nie znaczy, oczywiście, że Kerwin ustąpił swojemu zięciowi. Po prostu otworzył konto dla Karen.

Przyzwyczajona do ładnych rzeczy i czułego tatusia, wydawała te pieniądze na to, czego Boyd nie mógł jej zapewnić. Uznał, że nie ma prawa jej tego zabronić. Mimo to zaciskał zęby za każdym razem, gdy wracał zmęczony do domu i odkrywał, że żona znowu była na zakupach.

Kupili domek przy Mill Works Ridge, ponieważ Karen pokochała go od pierwszego wejrzenia. Wymagał on sporego remontu, co Boyda bardzo cieszyło: mógł wykonać wszystko własnoręcznie, dając w ten sposób swój wkład w koszty odnowienia domu. Odmówił jednak żonie, kiedy zaproponowała, żeby zamienił swojego starego garbusa na model sportowy. Po pogrzebie Karen i dziecka przekazał odziedziczone po niej pieniądze na rzecz miejscowego schroniska dla bezdomnych.

Drzwi do pokoju Stacy były otwarte. Zobaczył, że wstała z łóżka i stoi przy oknie. Po raz pierwszy widział ją stojącą. Krótka koszulka odsłaniała smukłe nogi.

Wciąż była zbyt szczupła, ale w ciągu tygodnia spędzonego w szpitalu zaokrąglił się jej brzuch, a piersi wydawały się pełniejsze. Przypominała mu alabastrowego bożka płodności, którego widział kiedyś w sklepie.

Myślami wrócił do tego strzępka jedwabiu i koronki, który wrzucił do walizki. Zanim zdążył się powstrzymać, wyobraził sobie tę cienką koszulę przylegającą do jej dojrzałych kształtów. Zamarł na myśl o tym.

Zastukał w otwarte drzwi i zobaczył, że drgnęła. Odwracając twarz, szybko przesunęła palcami po policzkach i wyprostowała ramiona. Sińce wyblakły, ale jej cudowne oczy wciąż były pełne smutku, a twarz blada.

- Obserwowałam ptasią samiczkę - wyjaśniła z uśmiechem. - Mą chyba gniazdo ukryte pod liśćmi, w tym krzaku pod latarnią, ponieważ żadnemu ptakowi nie pozwala się zbliżyć. Wpada w szał, atakuje, skrzeczy i macha skrzydełkami. Parę minut temu przegoniła nawet wielką sójkę, choć Bóg wie, co by zrobiła, gdyby tamta podjęła z nią walkę.

Pewnie by walczyła, pomyślał Boyd. Jak ta drobna blada kobieta z zapalem w sercu. Odchrząknął i też się uśmiechnął.

- A jaką rolę odegrał tatuś w tym starciu?

Raz jeszcze spojrzała przez szybę i pokręciła głową.

- Mam wrażenie, że to samotna matka.

- To się często zdarza - stwierdził i podszedł do metalowej szafki stojącej przy drzwiach wiodących do łazienki.

- Moja walizka?! - zawołała, szeroko otwierając oczy.

- Nie da się ukryć - odparł, wkładając ją do szafki. - Twoja torebka i poczta są w środku.

- Pojechałeś z Prudy do mojego mieszkania? - Lekka zmarszczka pojawiła się między jej brwiami, aż Boyd poczuł wyrzuty sumienia, jakby zrobił coś niewłaściwego.

- Prudy wezwano pilnie do szpitala. Poprosiła mnie o pomoc. - Zamknął szafkę. - Zabrałem wszystko, co umieściłaś na liście.

Stacy podziękowała mu i pomyślała o tych silnych dłoniach, przerzucających jej staniki i figi, których nie dotykał żaden mężczyzna. Tak jak żaden nie dotykał jej obrzmiałego brzucha. Przypomniała sobie, jak delikatnie pocieszał ją w tych strasznych minutach po wypadku, i nagle łzy stanęły jej w oczach.

- Do licha, obiecałam sobie, że to się nie powtórzy - mruknęła i zacisnęła powieki, ale łzy wciąż płynęły, jakby przeląła się tama.

Boyd nie wiedział, jak się zachować. Uniósł dłoń, by otrzeć jej oczy. Skóra Stacy przypominała w dotyku ciepły, wilgotny jedwab. Pożądanie przeszło go niczym ból.

- Stacy... - jęknął.

Poddał się i pocałował ją. Zadrzała. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale nie zdołał się powstrzymać. Przyciągnął ją mocno do siebie, aż jej okrągły brzuch przylgnął do jego biodra, a miękkie ciepłe piersi dotykały delikatnie żeber. Zupełnie tak, jakby jej miejsce było w jego ramionach.

Kręciło mu się w głowie, a myśli pędziły jak szalone. Nie była jego żoną ani nawet kimś, kogo dobrze znał. Ale, Bóg świadkiem, wargi miała cudownie słodkie i miękkie. Podbiła go, czego nie potrafiła dokonać żadna inna kobieta. Jej oczy, uśmiech, dumnie uniesiony podbródek, z którym przyjmowała wszystkie kłopoty...

On sobie z nimi poradzi, pomoże jej. Ale dzikie pragnienie, by położyć ją na łóżku i zsunąć koszulę z tego dojrzałego ciała, należało powstrzymać. Nie potrzebowała kochanka, lecz przyjaciela.

Chwycił ją za ramiona i odsunął delikatnie. Z wysiłkiem wciągnął powietrze, próbując uporządkować myśli. Wiedział, że rumieni się, patrząc, jak Stacy wolno unosi powieki ocienione długimi rzęsami. Wargi wciąż miała rozchylone, a zielone oczy lekko zamglone.

- Kim był ten człowiek w masce? - szepnęła, trochę zdziwiona.

Boyd przywołał swój najlepszy lekarski uśmiech.

- Stacy, ja....

- Nie mów tego, proszę.

- Czego mam nie mówić? - spytał.

- Że to, co się przed chwilą zdarzyło, było pomyłką. Zachował dość opanowania, żeby jej znów nie przytulić.

- Może nie. Ale to się nie powtórzy.

- Dlaczego?

- Bo tego robić nie wypada. Wiem, jak boli strata kogoś bliskiego. - Nabrał tchu i spróbował ubrać w słowa coś, co sam tylko częściowo rozumiał. - Wizyta twoich teściów i w ogóle... Na pewno myślisz o ojcu Tory i wołałabyś, by to on cię całował.

- Wiem, z kim się całowałam, Boyd. Nie będę cię obrażać, zadając ci to samo pytanie.

Zacisnął zęby, widząc ból w jej oczach.

- Nie patrz tak na mnie, Stacy. Staram się zachowywać właściwie. Przyzwoicie. - Nic z tego, uświadomił sobie, przeczesując dłonią włosy. Ból nadal w nim tkwił. - Przeżyłaś straszne chwile. Jesteś przerażona i bezbronna.

- A ty się nade mną litujesz. - Uniosła głowę i uśmiechnęła się. - To właśnie chcesz mi powiedzieć, prawda?

Przygryzł wargi, by nie odpowiedzieć, że całując ją, na pewno nie kierował się litością.

- Właśnie tak, Stacy. Nic poza tym.

- Myślę, że nie powiedziałaś całej prawdy. Sądzę, że poczułaś coś, kiedy mnie całowałaś. Coś, co poruszyło cię aż zbyt głęboko.

Gorący rumieniec wpełzł mu na szyję. Był nieczuły na wszystkie kobiece podstępny, na wszystko, z wyjątkiem tej tęsknoty w oczach kobiety, która wierzyła w dobre wróżki.

- Stacy, nie jestem bohaterem, którego we mnie widzisz oczyma duszy.

Uniosła rękę, by dotknąć jego twarzy. Drgnął. Uśmiechnęła się smutno.

- Widzę bardzo delikatnego, bardzo szlachetnego mężczyznę, na którym mi bardzo zależy.

- Do licha, Stacy, czy ty mnie w ogóle nie słuchasz? Nie mogę dać ci tego, czego potrzebujesz. Nie jestem w stanie ofiarować ci niczego prócz zgryzoty, - Uświadomił sobie, że niemal krzyczy, i z trudem się opanował. I póki jeszcze kontrolował swoje odruchy, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

- Do licha, wciąż jest krzywo - mruknął Boyd, odstępując o krok z sekatorem w rękę, by przyjrzeć się efektom swojej pracy.

Żywopłot, który początkowo sięgał mu do ramienia, został przycięty do rozsądnej wysokości około metra. Szczyt był płaski jak pas startowy. Jednak spoglądając wzdłuż żywopłotu, dostrzegł jakieś fale i zagłębienia. Jeszcze gorzej wyglądało to od strony Prudy, gdzie wielkie różowe i niebieskie kwiaty, które ich właścicielka tak lubiła, opierały się o żywopłot.

Jak Stacy je nazwała? Hortensje?

Marszcząc brwi, patrzył na kwiaty i próbował nie myśleć o różowych wargach Stacy, rozchylonych w łagodnym uśmiechu.

Wymruczał słowa, nadużywane w latach, kiedy włóczył się po barach rodzinnego miasteczka. Przekleństwa jednak nie pomagały, wciąż czuł się fatalnie.

Odwiedziny w mieszkaniu Stacy i dotykanie jej rzeczy zaprowadziły go w obszar intymności, której nie pragnął.

Przez trzy lata unikał kontaktów z kobietami. Udawało mu się, był w tym ekspertem. Wiódł spokojne życie i sam podejmował decyzje. Odpowiadał jedynie za swoją pracę. Jeśli się pomylił i zażądał za mało pieniędzy, godził się ze stratą, filozoficznie wzruszając ramionami. Jeśli źle ocenił czas potrzebny do wykonania pracy, zostawał po godzinach za darmo. Jeżeli popełnił jakikolwiek błąd, to on za to płacił, nikt inny.

Dwadzieścia minut później dotarł do końca żywopłotu przy parkingu. Miał już zamiar zakończyć pracę, gdy usłyszał, jak stary wóz Prudy zatrzymuje się obok jego samochodu.

No jasne... Ten szaleniec zabrał się do pracy w jeden z najgorętszych dni w roku, pomyślała Prudy, niechętnie wysiadając z volvo. Cóż, Boyd nie lubił ułatwiać sobie życia.

Chciała mu powiedzieć, że to mu w niczym nie pomoże, iż wspomnienia nie znikną, gdy będzie doprowadzał swoje ciało do zupełnego wyczerpania, a umysł do otępienia. Od tych wspomnień nie sposób uciec: musi je pokonać, jeśli kiedykolwiek chce być od nich wolny.

- Słowo daję, jutro się zwalniam - oświadczyła, zatrzaskując drzwi wozu. - Nawet wbijanie gwoździ u ciebie będzie lepsze niż niańczenie tych pijaków w izbie przyjęć.

- Co to znaczy „nawet”? - oburzył się Boyd, prostując plecy.

Prudy z uśmiechem minęła taczki wyładowane ściętymi gałęziami i spojrzała na przycięty żywopłot.

- Uwielbiam cię, Boyd, ale jako szef byłbyś koszmarny. Zdmuchnęła z mokrego czoła kosmyk włosów, podniosła ścięty różowy kwiat i spojrzała na niego smętnie.

- Mam nadzieję, że Stacy nie oczekuje kolejnego bukietu. Nie zostawiłeś zbyt wielu hortensji w moim ogródku.

Boyd poczuł, że się czerwieni. Do diabła, powinien był kupić kwiaty w sklepie.

- Co słyhać u Stacy? - spytał obojętnie. Minęły dwa dni, odkąd ją ostatnio widział. I dwie niemal bezsenne noce.

Prudy włożyła kwiat za ucho i uśmiechnęła się ironicznie.

- Myślę, że wszystko w porządku... albo raczej będzie w porządku, kiedy znajdzie pracę.

- Nie mówiła mi, że szuka pracy - mruknął, wyobrażając sobie Stacy na drabinie, kończąca malowanie mieszkania.

Prudy zerknęła na niego.

- A po co? Miałbyś coś dla niej?

Boyd burknął coś i schylił się po narzędzia. Stacy Patterson potrzebuje opiekuna, kogoś, kto jej pomoże, póki dziecko, które tak uwielbia, nie urodzi się bezpiecznie.

- Jeśli chcesz ją odwiedzić w szpitalu, daj sobie spokój - rzuciła jeszcze Prudy. - Jarrod wypisał ją wczoraj rano.

Dwadzieścia minut później Boyd zaparkował wóz na miejscu oznaczonym znajomą tabliczką „Tylko dla mieszkańców” i wbiegł po schodach do mieszkania Stacy. Gdy nie odpowiedziała, zastukał jeszcze raz, głośniejszym i dłużej. Nacisnął klamkę, lecz drzwi były zamknięte.

- Stacy, otwórz. Tu Boyd.

Gniewny, zdecydowanie męski głos, sypnął jakieś przekleństwa i drzwi otworzyły się w gwałtownie. W progu stał rozczochrany, nie ogolony mężczyzna z zaczerwienionymi oczami. Boyd uznał, że nie ma jeszcze trzydziestki i pochodzi z dalekiego południa, co stało się jasne, gdy tylko zaczął mówić.

- Chłopie, cokolwiek sprzedajesz, mnie to nie interesuje.

- Miał zamiar zamknąć drzwi, ale Boyd pchnął je znowu.

- Gdzie jest pani Patterson? - Boyd uznał, że nie ma czasu ani cierpliwości na długie dyskusje.

- Nie mam pojęcia. - Mężczyzna wskazał na dom koloru piasku. - Zapytaj tego drania. To on wynajął mi wczoraj ten śmietnik.

Boyd z trudem się opanował.

- A co z rzeczami pani Patterson?

Zdziwienie w oczach mężczyzny wystarczyło za odpowiedź.

- Idź spać - rzucił Boyd przez ramię i zbiegł po schodach.

Kiedy dotarł na dół, właściciel wychodził właśnie tylnymi drzwiami. Boyd zaczekał na niego, powściągając gniew.

- Wiedziałem, że to twój wóz, kowboju.

Facet wyraźnie szukał guza. Boyd zastanowił się, czy nie zrobić mu tej przyjemności, kiedy już dowie się tego, na czym mu zależy.

- Jestem MacAuley, a pan?

- Wattchel. - Mężczyzna zmrużył lisie oczka, gdy usłyszał grzeczny ton Boyda. - Ale co to pana obchodzi?

- Coś panu powiem, panie Wattchel - powiedział wolno Boyd, starannie cedząc słowa. - Wychowywała mnie głównie babcia i bardzo dbała o moje dobre maniery. Nie uznawała bójek, chyba że nie było innego wyjścia. Uważała, że to niegrzecznie stłuc kogoś solidnie, jeśli nie zostało mu się przedstawionym.

Wattchelowi opadła szczeka, potem zacisnął wargi i rzucił przekleństwo.

Boyd przypomniał sobie, że potrafi być cierpliwy w słusznej sprawie.

- Proszę mi podać nowy adres pani Patterson. Natychmiast.

Odpowiedź Wattchela była po prostu wulgarna. Boyd uznał, że nie jest aż tak cierpliwy.

- Do diabła, Wattchel... a tak dobrze nam szło. - Zanim tamten zdążył zareagować, Boyd pchnął go na furgonetkę i przycisnął przedramieniem gardło. - Dokąd poszła, kiedy ją wyrzuciłeś?

Wattchel patrzył na niego wytrzeszczonymi oczami i szczyrzył zęby w przyływie furii.

- Nie wiem, o czym gadasz, do cholery. Prowadzę tu interes, a nie schronisko. Ta damulka wiedziała, jakie są zasady. Czynsz ma być zapłacony na czas.

- Gdzie... ona... jest? - Boyd nacisnął przetyk mężczyzny dostatecznie silnie, żeby zagwarantować sobie pełną uwagę. Gdy dostrzegł panikę w jego oczach, zmniejszył nieco nacisk.

- Motel na Eastern... - Wattchel odetchnął głęboko. Cuchnęło mu z ust.

Boyd opuścił rękę i cofnął się. Ponieważ w młodości był niski i chudy, zawsze preferował lewy w żołądek i prawy sierpowy w szczękę. Przypuszczał, że Wattchel w bójce prezentuje tylko brutalną siłę, bez żadnej finezji.

Miał rację. Wattchel zamachnął się szeroko, mierząc w nos przeciwnika. Boyd uchylił się lekko i władował lewą pięść w opasły brzuch Wattchela. Ale dopiero solidne zderzenie ze szczęką tamtego dało mu chłodne poczucie satysfakcji.

Wattchel osunął się i otworzył usta. Boyd poświęcił chwilę, by upewnić się, że go tylko ogłuszył. Potem ruszył do wozu. Kiedy ujął kierownicę, zauważył, że ma otartą skórę na kostkach prawej ręki.

Mimo nerwowych skurczów żołądka, Stacy wiedziała, że musi coś jeść, dla dobra Tory i własnego. Ale kiedy zapłaciła za taksówkę ze szpitala do mieszkania, a potem - po poniżającej kłótni z właścicielem - do motelu, nie miała pieniędzy nawet na kupno kartonu mleka.

Zmęczona krążeniem po szarym, dusznym jak sauna pokoju, usiadła na nierównym łóżku i próbowała się zastanowić nad swoją przyszłością. Miała dach nad głową, walizkę ubrań i fiolkę witamin, które przyniósł jej Boyd. I rachunek za szpital: pięciocyfrowy.

Biorąc to pod uwagę, wynajęcie pokoju w motelu było już kradzieżą. Zresztą i tak ją wyrzucą, jeśli szybko nie zdobędzie jakiejś gotówki. Jak dotąd, nie miała nawet szansy znalezienia pracy. I choć ją to krępowało, będzie musiała zwrócić się o pomoc do opieki społecznej. Z tym poczeka do poniedziałku. Biuro nie było czynne w niedzielę. A tymczasem...

Walenie w drzwi przeraziło ją. Rozejrzała się nerwowo, ale zaniedbany pokój miał tylko jedno wejście.

- Kto tam? - spytała, odruchowo sięgając dłonią do brzucha.

- Boyd, do diabła. Wpuść mnie.

Ze zdziwienia szybciej zabiło jej serce.

- Nie znam żadnego Boyda Dodiabła! - zawołała, otwierając drzwi.

Mężczyzna za progiem nawet się nie uśmiechał. Miał gniewne oczy i zaciśnięte usta.

- Co ty tu robisz? - spytała, co chyba jeszcze bardziej go zdenerwowało.

- Zabieram cię stąd.

Pokazała, że też potrafi marszczyć brwi.

- Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

- Od Wattchela.

- Pojechałeś do mojego mieszkania? - To było głupie pytanie. Jak inaczej mógł się dowiedzieć, gdzie jej szukać? Chciała mu zadać inne, ważniejsze. - Dlaczego?

- Nie wiem, do cholery. Pakuj rzeczy - rzucił gwałtownie.

- Ale...

- Nie kłóć się ze mną, Stacy. Jestem w złym nastroju. Wyminął ją tak szybko, że musiała się cofnąć, by zejść mu z drogi. Zanim zdołała ochłonąć, szybkimi ruchami wrzucił do walizki kilka rozpakowanych drobiazgów.

- Idziemy - poleciał tak ostro, że mógłby głosem ścinać drzewa.

- A właściwie dokąd?

- Poszukać innego mieszkania. Nie możesz tu zostać.

Pomyślała o swoim pustym koncie i dumnie uniosła głowę.

- Dlaczego? Tu jest czysto.

- Nie czytasz gazet? - Zatoczył łuk ręką. - W tym roku były tu już dwa morderstwa i jeden gwałt.

Znała tę statystykę aż za dobrze. Ale zebracy, jak twierdził jakiś tani filozof, nie mogą być wybredni. Mogą za to zachować dumę, a przynajmniej to, co z niej zostało.

- Będę uważać.

Mruknął coś pod nosem i zniknął w łazience. Dwie sekundy później wrócił, niosąc przybory toaletowe. Wrzucił drobiazgi do walizki i zatrzęsął wieko.

- Nie zostaniesz tutaj i już.

Powtarzając sobie, że nie powinien na nią warczeć, wyniósł walizkę na zewnątrz i władował do furgonetki. Wrócił do pokoju i wskazał głową otwarte drzwi.

- Jesteś gotowa? Stacy nabrała tchu.

- Boyd, jestem ci wdzięczna za pomoc, ale już dość ci się narzucałam.

- Uparta jak osioł - mruknął, podszedł szybko i wziął ją na rękę.

Stacy nie była pewna, czy bardziej ma ochotę przyłożyć mu w tę twardą szczękę, czy przytulić głowę do jego ramienia. A ponieważ nie mogła się zdecydować, ograniczyła się do nazwania go brutalem.

Obrzucił ją rozbawionym wzrokiem i ruszył do drzwi.

- Moja torebka! - krzyknęła niemal, gdy zrozumiała, że wychodzą, czy to się jej podoba, czy nie.

Boyd podszedł do komody, pozwolił, by zabrała torebkę, i wyniósł Stacy do furgonetki. W chwilę później przypiął ją pasami do siedzenia, a sam usiadł za kierownicą.

- Czekaj! - krzyknęła, gdy sięgał do stacyjki. - Ja... nie zapłaciłam za motel.

Wzruszył ramionami.

- Załatwiłem to, gdy sprawdzałem w recepcji numer twojego pokoju. Oddasz mi później.

Później? W przyszłym tygodniu? Za miesiąc? Jak długo trwają formalności w biurze opieki społecznej?

- Potrzebny mi rachunek - powiedziała z uśmiechem, który miał być promienny, lecz wyglądał żałośnie.

Bez słowa pochylił się i wyjął z kieszeni portfel. Zauważyła, że ma kostki pokryte zaschniętą krwią.

Pod wpływem impulsu dotknęła rany. Znieruchomiał, patrząc jej w oczy.

- Co się stało? - spytała cicho.

- Uderzyłem się o drzwi twojego mieszkania.

Stacy wyobraziła sobie, jak ta zaciśnięta dłoń trafia w szczękę Griffa Wattchela. Przez moment poczuła euforię, a potem wyrzuty sumienia. Wattchel był bez wątpienia świnią, ale trzeba przyznać, że już pierwszego dnia ostrzegł ją o konieczności płacenia czynszu w terminie. Dlaczego miał dla niej zrobić wyjątek?

- Czy to boli?

- Tylko, kiedy się śmieję - odparł odrobinę łagodniej.

- Przykro mi - szepnęła, pieszcząc palcami obrzmiałe kostki.

Nie powinna go dotykać, gdyż iskra współczucia w sercu Stacy zmieniła się w coś bardziej żywiołowego, groźnego. W coś bliskiego miłości. Zbyt bliskiego.

Boyd powtarzał sobie, że dobrze zrobiła, cofając rękę. Powtarzał sobie, iż myśli tylko o bezpieczeństwie jej i dziecka. Że nie brakuje mu tych miękkich palców dotykających jego dłoni.

Z ponurą miną otworzył portfel i wyjął rachunek.

- Oto rachunek - oznajmił i położył kwit na siedzeniu.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Uruchomił silnik. Dokąd teraz pojedziemy? pomyślał. Stacy wpakowała się na gałąź tak cienką, że byle zefirek ją złamie, ale raczej zginie, niż poprosi o pomoc...

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Stacy przyglądała się, jak zegar na desce rozdzielczej odlicza kolejną minutę. Minęło ich już szesnaście, odkąd opuścili motel, większość z nich w milczeniu. Z początku Stacy próbowała zamienić z Boydem parę słów na temat pogody czy ruchu na ulicy, lecz odpowiadał monosylabami, głęboko zamyślony. Wreszcie zrezygnowała.

Instynkt podpowiadał jej, że Boyd nie jest człowiekiem, który narzuca innym swoją wolę. Dlaczego więc nagle stara się kierować jej życiem? Odwróciła lekko głowę, by obserwować go spod w półprzymkniętych powiek. Boyd MacAuley, lekarz, który został stolarzem... Samotny mężczyzna o złotym sercu.

Przy nim czuła się bezpieczna. Byli sobie obcy, w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, a miała wrażenie, że zna go od dawna. Wiedziała, że może mu ufać.

Jednocześnie jednak bała się zostać z nim sama. Nie tak, jak bała się Lena. Miała wrażenie, że lęk przed Boydem jest groźniejszy. Nie potrafiła nad sobą panować. Czuła podniecenie na samą myśl, że znów mógłby ją pocałować.

Nie myśl o tym, Stacy, upomniała się. I, na miłość boską, przestali snuć romantyczne wizje na skutek dwóch pocałunków.

- Dobrze się czujesz? - W głębokim głosie Boyda brzmiała szczerza troska, którą Stacy uznała za wzruszającą.

- Świetnie. Jestem trochę senna.

W szpitalu przyzwyczała się do częstych drzemek. To też musi się zmienić, kiedy znajdzie posadę. Jutro zacznie pracować. Nawet jeśli będzie musiała smażyć hamburgery.

Boyd zerknął na nią, po czym patrzył na drogę przed sobą. Stacy przymknęła powieki i poddała się zmęczeniu. Dopiero kiedy furgonetka zwolniła, otworzyła oczy.

Zamrugnęła, wyprostowała się i rozejrzała wokół. Jechali ulicą wzdłuż brzegu Columbi, uświadomiła sobie po chwili. Rzeka płynęła leniwie, dookoła panował spokój.

- Gdzie jesteśmy? - spytała, kiedy stanęli na skrzyżowaniu.

- Przy Mill Works Ridge.

Rozejrzał się i skręcił w obramowaną drzewami aleję, biegnącą równolegle do rzeki. Po lewej stronie był park i plac zabaw dla dzieci, po prawej rząd ślicznych domów. Dostrzegęła podobieństwo ich konstrukcji, choć każdy z budynków miał własny styl i urok. Stacy uznała, że byłaby szczęśliwa, mieszkając w którymkolwiek z nich. A potem z cichym westchnieniem odsunęła tę myśl. Minie wiele czasu, zanim będzie sobie mogła pozwolić na coś więcej niż małe mieszkanie.

- Tu, gdzie jest centrum handlowe, stał kiedyś młyn - powiedział Boyd, widząc, że Stacy się rozgląda. - Stary Chester Waverly wybudował dla swoich pracowników ze dwadzieścia domków wzdłuż tej ulicy. Zostało ich tylko sześć.

Waverly. Stacy zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie, gdzie słyszała to nazwisko. Od Prudy, uświadomiła sobie... Gdy mówiły o żonie Boyda.

Przygryzła wargi i zerknęła podejrzliwie w stronę Boyda.

- Czy któryś z tych domków jest przypadkiem twój? - Owszem.

Stacy odetchnęła głęboko, by uciszyć bijące mocno serce.

- Czy do niego jedziemy?

- Tak.

Wykrzywił wargi i Stacy miała wrażenie, że dostrzega lekki rumieniec na jego policzkach. Opuściła wzrok na swoje ręce.

- Zabawne. Nie pamiętam, żebym przyjęła twoje zaproszenie.

Spojrzał na nią z uwagą.

- To nie jest czterogwiazdkowy hotel. - Zawahał się.

- Nawet trzy gwiazdki byłyby trudne do osiągnięcia.

Stacy stłumiła uśmiech. Zaczynał chyba żałować, że pospieszył jej na pomoc. Teraz starał się wymyślić, co zrobić z tą ubogą wdową. Biedny Boyd, pomyślała, jest bardziej wielkoduszny, niż chciałby być.

- Przykro mi, ale trzy gwiazdki to dla mnie zbyt wiele - oznajmiła. - Będziesz musiał zabrać mnie z powrotem do motelu.

Boyd dostrzegł rozbawienie w jej oczach. Do licha, ta kobieta była przygnieciona całą furą kłopotów, a jednak wciąż potrafiła się śmiać. A on, żaloszny facet, nie śmiał się tak naprawdę od lat. Chyba za bardzo się nad sobą lituje, pomyślał.

Nagle pożałował, że nie włożył wszystkich sił w ten cios, którym poczęstował Wattlela. Może wtedy nie czułby się taki przegrany.

- Przykro mi - powiedział szorstkim głosem - ale ta taksówka jedzie tylko w jedną stronę.

Stacy roześmiała się.

Kątem oka zauważył, że pociera dłońią, a potem gładzi pieszczotliwie górę brzucha. Coś chwyciło go za gardło; z trudem skoncentrował się na prowadzeniu samochodu.

- Czytałam gdzieś, że czas goi rany - mruknęła po chwili. A inne rozdrapuje jeszcze bardziej, pomyślał Boyd, zwalniając przy podjeździe, który dzielił z Prudy. Zaparkował obok jej volvo i wyłączył silnik.

Stacy rozejrzała się nerwowo i spojrzała na niego.

- To wóz Prudy? - spytała.

Boyd kiwnął głową. Więc czuła się bezpieczniej, wiedząc, że Prudy mieszka obok. Dobrze, że nie znała jego myśli i jego snów...

Odpięła pas. Poruszała się niezręcznie. Dzień pełen wrażeń zmęczył ją, podobnie jak upał. Marzyła o czymś zimnym do picia, a potem o drzemce. Wiedziała, że zostanie tu krótko, gdyż dłuższe goszczenie jej przez Boyda byłoby z jego strony dobroczynnością, a ją naraziłoby na utratę resztek dumy.

Zmęczenie połączone z bólem kostki przeszkadzało do tego stopnia, że z trudem wysiadała z samochodu. Zanim dotknęła stopą chodnika, Boyd mruknął coś, czego nie dosłyszała.

- Słucham? - spytała.

W ułamek sekundy później chwycił ją i uniósł z siedzenia.

Przez chwilę stali oko w oko. Jego miękkie usta znalazły się tak blisko, że Stacy poczuła mrowienie w wargach. Zapatrzona, nie pamiętała, by oprzeć ciało na zdrowej nodze. Krzyknęła, gdy ból objął całą łydkę, i natychmiast znalazła się w jego ramionach. Przycisnął ją do twardej piersi, aż poczuła zapach mydła na opalonej szyi. Dostrzegła pulsującą żyłkę w trójkątnym zagłębieniu nad koszulą.

Mrucząc coś o głupocie, głównie własnej, długim, pewnym krokiem ruszył w stronę domu. Niósł ją lekko, prawie bez wysiłku. Pokusa, by wtulić się w jego ramiona, była niemal nie do odparcia. Była też niebezpieczna. Stacy zbyt łatwo mogła się przyzwyczaić do jego opieki.

Słowo „miłość” przemknęło na moment przez jej myśli, budząc lekki dreszcz. To niemożliwe, protestowała w duchu.

Mylili wdzięczność z miłością. Boyd był przy niej, gdy czuła się samotna i przerażona. Jego wielkie dłonie obejmowały ją i dodawały otuchy.

- Mogę chodzić - zaprotestowała, kładąc głowę na jego umięśnionym ramieniu.

- Siedź i nie odzywaj się.

Jego głos przypominał warknięcie, a jednak Stacy czuła, że gniew Boyda jej nie dotyczy. To frustracja, uznała. Dość już jej przeżyła, by rozpoznać objawy.

Zostało jeszcze tylko sześć tygodni do urodzin Tory, jeśli będzie miała szczęście. Westchnęła, próbując ignorować tępy ból, który pojawił się w prawej skroni. Ataki, które dręczyły ją w szpitalu, bywały teraz rzadsze, ale nie mniej gwałtowne. Potrzebny jest odpoczynek i spokój, jak stwierdził doktor Jarrod. I żadnych stresów. Nie powiedział tylko, jak Stacy ma to osiągnąć, posiadając w portmonetce czterdzieści pięć centów.

Boyd pokonał trzy stopnie werandy, przycisnął ją mocniej jedną ręką, a drugą zdołał wsunąć klucz do zamka. Czuła, jak napinają się jego mięśnie, i znów pomyślała o brązowej, przyprószonej włosami piersi, którą widziała przez szybę transama. Dziwne, jakie szczegóły przechowuje nasza pamięć, myślała, kiedy otwierał drzwi.

Wewnątrz dom był cudownie chłodny, kojący skutki bezlitosnego upału. Zapamiętała żółte ściany i białe meble, gdy niósł ją przez kuchnię do salonu. Łagodnie ułożył ją na kremowej sofie i wolno cofnął ręce, jakby niechętnie ją wypuszczał z ramion.

- Nie ruszaj się. Przyniosę twoje rzeczy - rozkazał surowym tonem. - Potem wszystko omówimy.

Odwrócił się i wyszedł z pokoju, zanim Stacy mogła wymyślić jakąś odpowiedź. Co omówimy? zastanawiała się z głębokim westchnieniem. Układ? Pożyczkę?

Rozglądała się wokół z ciekawością. Oczekiwała... czego? Bałaganu? Źle dobranych mebli? Nory samotnika? Zamiast tego odkryła spokojną oazę błękitu, łagodnego beżu z elementami szarości i różu. Pokój był niemal klasycznie elegancki. Zauważyła srebrne lichterze, gruby dywan, oprawione fotografie z zamaszystymi podpisami.

Niezwykłe mieszkanie dla mężczyzny, który wracał do domu z wiórami we włosach. Uświadomiła sobie ze smutkiem, że to pewnie jego żona urządziła ten pokój. Ów duch, o którym wspominała Prudy.

Czuła się trochę niezręcznie w pokoju godnym zdjęcia na rozkładówce. Wyobraziła sobie panią MacAuley jako smukłą, pełną gracji kobietę, idącą przez życie spokojnie, z poczuciem wyższości i pewności siebie, jakie dają uroda i dobre wychowanie. Córka bogacza. Żona lekarza. Tak doskonała, jak pokój, który urządziła.

Ostatecznie nie miało to znaczenia. Poczowała współczucie dla kobiety, której nigdy nie pozna. I dla samotnego mężczyzny, który utrzymywał dom w takim stanie, w jakim ona go zostawiła.

Przymknęła oczy i przypomniała sobie puste dni i niespokojne noce, kiedy lekarze powiedzieli jej delikatnie, ale stanowczo, że mężczyzna, którego kochała i poślubiła, odszedł na zawsze. Jakby był martwy i trafił do grobu.

Byli wtedy przy niej przyjaciele: nauczycielki ze szkoły, żony kolegów Lena z policji. Pomagali przebić się przez kolejne poziomy bólu, podtrzymywali ją, gdy płakała i krzyczała ze złości. Z nieskończoną cierpliwością słuchali, kiedy wspominała piękne lata z Lenem.

Według Prudy, Boyd po prostu zamknął się w sobie. Płacił cenę za przeżycie, egzystując bez radości i bez miłości.

Zmarszczyła brwi i znowu ból eksplodował gwałtownie, a potem opadł aż do rytmicznego pulsowania. Przygryzła wargę, by nie jęknąć, i sięgnęła do torebki po jakiś łagodny środek znieczulający, który Jarrod uparł się jej przepisać. Najpierw jednak przez kwadrans przekonywał ją, że lek nie wpłynie na rozwój Tory.

W polu widzenia wszystko falowało w rytm pulsowania bólu. Stacy nie potrafiła się skupić na zakrętce, chroniącej lek

przed dziećmi. Zniechęcona, walcząc z mdłościami, przymknęła oczy w nadziei, że zniknie ta mglista wata. I otworzyła je gwałtownie, gdy poczuła na dłoni silne męskie palce.

- Do licha, Stacy, czemu nic nie powiedziałaś? - W tonie jego głosu usłyszała ukryty lęk. Bał się o nią. - Czy to już poród? Kiedy...

- Ból głowy - szepnęła.

Boyd otworzył butelkę z lekiem. Bez wysiłku to zrobił, pomyślała smętnie, - gdy wysypał jej na dłoń dwie tabletki.

- Przyniosę ci wody.

Posłusznie trzymając tabletki w ręce, Stacy pozwoliła powiekom opaść. Kiedy Boyd wrócił, stwierdził, że jej twarz jest biała jak kreda, a wargi zaciśnięte. Odetchnął gwałtownie. Wściekłość na Jarroda groziła wybuchem. Nie powinien wypisywać jej ze szpitala. Nieważne, jak bardzo naciskało go towarzystwo ubezpieczeniowe.

- Stacy, kochanie, otwórz dłoń.

Widok jej drżących palców był niczym cios w żołądek. Bardzo cierpiała, lecz na szczęście nie miała skurczów porodowych.

- Otwórz usta - polecił delikatnie.

Posłusznie rozchyliła wargi. Długie ciemne rzęsy zatrzepotały nad zamglonymi z bólu oczami. Ostrożnie podał jej tabletki, przypilnował, żeby zostały na języku, a potem przysunął do ust szklanek wody. Wypiła zachłannie, wczepiona w jego przegub, jakby chciała utrzymać równowagę.

- Dokończ - zachęcił ją, kiedy się cofnęła.

- Niedobrze mi - wymamrotała.

- Niech diabli wezmą Jarroda - mruknął, odstawiając szklanek.

Ale nawet przeklinając kolegę, wiedział, że nie ma racji. Luke był znakomitym lekarzem, uważnym i ostrożnym, jak żaden inny. Stacy miała najlepszą opiekę. Potrzebowała tylko spokoju i wypoczynku.

- Spokojnie, skarbie - szepnął i ostrożnie usiadł przy niej.

Poduszki ugięły się pod jego ciężarem, przechylając Stacy w jego stronę. Gestem tak naturalnym jak oddech objął ramieniem jej szczupłe plecy i przyciągnął jeszcze bliżej.

Mruknęła coś, czego nie zrozumiał, a potem oparła się o niego, rozluźniona. Nawet z dodatkowym ciężarem w postaci dziecka wydawała się krucha w jego ramionach. Jak anioł, którego widział raz w muzeum w Nowym Jorku. Anioł z podkrążonymi oczami, choć sińce już przybladły, a życie w jej brzuchu nabierało tempa.

Odruchowo pogładził dłonią jej włosy i odgarnął je z twarzy. Jedwabiste kosmyki zahaczały o drobne zadrapania na jego palcach. Stacy poruszyła się, westchnęła i przyłgnęła do niego mocniej, jak dziecko szykujące się do snu.

Poczuł się zaskoczony i zaszczycony okazanym mu zaufaniem. Tylko raz czuł się podobnie: kiedy Karen oddała mu swoje serce i niewinność pewnej deszczowej nocy, całe wieki temu.

Nie był mężczyzną, który wierzył w modlitwy, ani nawet w drugą szansę. Człowiek mógł nazywać siebie szczęśliwym, jeśli kochał raz w życiu, a już zwłaszcza, gdy kochał z wzajemnością. Następnej szansy już nie będzie, tak jak nie ma dwóch takich samych kart w jednej talii.

Wolno, ostrożnie, wciąż podtrzymując głowę Stacy, oparł się wygodnie. Dziecko pomiędzy nimi dotykało jego klatki piersiowej. Boyd przymknął oczy i bezgłośnie zmówił modlitwę: "Jeszcze jeden miesiąc; jeden krótki miesiąc, o nic więcej nie proszę; daj dzieciakowi szansę, dobrze?"

Proszę.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Stacy obudziły ciosy małych piąstek i kilka kopnięć. Nie otwierając oczu, wyobraziła sobie drobną, wykrzywioną zniecierpliwieniem twarzyczkę Tory. Uśmiechnęła się.

- Dzień dobry, pączuszkę - wymruczała zaspana.

- Jak się czujesz? - odparł głęboki głos.

Zaskoczona, otworzyła oczy. Ku swemu zdumieniu odkryła, że to wcale nie rano, ale wieczór. Była zbyt senna, by odgadnąć, jak długo spała. Ale nie aż tak senna, by nie zauważyć, że jest w obcym łóżku, obcym pokoju pogrążonym w półmroku, a jedyne światło dochodzi z korytarza. Boyd stał w otwartych drzwiach i przyglądał się jej szarymi, poważnymi oczami.

Odetchnęła powoli. Zbyt dokładnie widziała, że Boyd ma na sobie jedynie parę szortów z miękkiej dzianiny. Poczowała, że zasycha jej w gardle.

- Musiałam zasnąć - powiedziała z niepewnym uśmiechem.

- Spałaś kamiennym snem. - Uśmiechnął się lekko. - Pomyślałem, że to podziałały tabletki, więc przeniosłem cię, żeby ci było wygodnie. Ta sofa nieźle wygląda, ale śpi się na niej fatalnie.

Kiwnęła głową i rozejrzała się. W przeciwieństwie do salonu, sypialnia Boyda była urządzona po spartańsku: białe ściany i proste meble. Jedyne plamy kolorów tworzyły książki stłoczone na półkach i piękna narzuta zwinięta u jej stóp.

- Która godzina? - spytała.

Zauważyła, że Boyd znów patrzy na nią, marszcząc brwi. Zaczęła się przyzwyczajać do tej zmarszczki, pojawiającej się na jego czole w chwilach, gdy próbował się skoncentrować lub gdy był zły.

- Minęła północ.

Podszedł bliżej, roztaczając wokół zapach mydła i wody po goleniu. Włosy miał zmierzwiłone i mokre, ich kosmyki lepiły się do jego szyi i zwijały na czole. Stacy zacisnęła palce na kołdrze.

- Jak się miewa twoja głowa? - zapytał ściszym głosem.

- Wciąż się trzyma szyi, ale ledwo, ledwo. - Zaśmiała się krótko i znowu poczuła ukłucie bólu.

- Lepiej się nie ruszaj, jeśli nie musisz.

Wydawał się zatroskany i trochę zmieszany. Ogarnęło ją poczucie winy, gdy przycisnął szeroką ciepłą dłoń do jej czoła. Dotyk był łagodny i badawczy, a skóra szorstka jak drobniutki papier ścierny. Zastanowiła się, jak zareagowałyby na dotyk tych palców na swoich wrażliwych teraz piersiach.

- Nie masz gorączki - stwierdził i cofnął rękę.

- Nic mi nie jest, naprawdę...

- Masz ochotę coś zjeść? - spytał, gdy uniosła wzrok.

- Teraz nie. - Żołądek wciąż dawał o sobie znać. - Ale do rana będę tak głodna, że chyba zjem poduszkę.

- A może wolisz owsiankę? - Boyd uśmiechnął się krzywo.

- O, nie, tak głodna nigdy nie będę.

Jednak mogę być, jeśli szybko nie znajdę pracy, pomyślała, czując przyływ paniki.

- Może napijesz się herbaty? - Nie ustępował. - Mam jakąś ziołową, którą trzymam dla Prudy, kiedy tu czasem wpada, by udzielić mi porad.

Uśmiechnęła się na myśl o Prudy, pouczającej dwa razy większego od niej mężczyznę.

- Teraz chcę tylko odespać efekty tych przeklętych pigułek. Poczowała skurcz mięśni i wyprężyła nogę, zwracając tym

jego uwagę. Zdjął jej tylko buty - leżała w ubraniu pod jasnoniebieską kołdrą.

- Nie chciałem cię budzić - wyjaśnił. - Karen zawsze mówiła, że poruszam się raczej jak byk niż jak kot, zwłaszcza gdy próbuję zachowywać się cicho.

Po raz pierwszy wspomniął przy niej o żonie, ale w jego tonie nie wyczuła niczego, oprócz drwiny z siebie.

- Nie przepraszaaj - mruknęła, unosząc się na łokciach.

- To twój dom. Hałasuj, ile tylko chcesz. Obiecuję, że nie będę narzekać. - Zdołała usiąść bez specjalnych kłopotów. - Jutro zacznę szukać jakiegoś mieszkania.

Zmiał dłońmi końce ręcznika zwisającego mu z ramion. Len był silnym mężczyzną, lecz ciało Boyda przypominało rzeźbę: symbol gracji i kontrolowanej potęgi.

- Nie zrozum mnie źle, ale kiedy dziś zajrzałem do twojego mieszkania, właściciel powiedział, że nie miałaś czym opłacić czynszu.

Wattchel, ten gadatliwy drań, nie umie trzymać języka za zębami, pomyślała Stacy, zaciskając dłonie w pięści.

- Faktem jest, że w tym miesiącu miałam pewne kłopoty.

- Wzruszyła ramionami. - Typowe porozwodowe komplikacje. Przyjaciółki, które to przeżyły, zapewniały mnie, że to wszystko minie.

- Domyślasz się, kiedy?

Stacy zerknęła na Boyda. Patrzył na nią badawczo. Zadał pytanie, które powtarzała sobie codziennie od dnia wypadku.

- Szczerze mówiąc, zastanawiałam się, czy nie iść do wróżki. - Stacy uśmiechnęła się ironicznie.

- Jeśli to ci pomoże...

- Ty mi już pomogłeś - zapewniła go szybko.

Od czasu choroby Lena straciła dużo z tego, co było dla niej ważne. Duma to jedna z niewielu rzeczy, które jej pozostały.

- Stacy, nie proponuję ci jałmużny. To pożyczka.
- A ja odmawiam. - Zaczerpnęła tchu. - I dziękuję.
- Do licha, jestem... byłem lekarzem. Wiem, do czego może doprowadzić wstrząs, jaki przeżyłaś. Parę godzin temu prawie zemdliałaś z bólu. Twoja twarz ma nadal kolor kredy.

Jego gniew był autentyczny.

- Przyznaję, że jestem trochę roztrzęsiona. To z powodu tabletek. Jutro rano...

- Jutro rano miną trzy dni od twojego wyjścia ze szpitala. Większość pacjentów po czymś takim potrzebuje miesiąca rekonwalescencji, żeby odzyskać siły. - Boyd przeczesał palcami włosy i rozczochrał je jeszcze bardziej. - Jarrod nie powinien cię wypisywać.

Stacy zarumieniała się. Pomyślała, czy nie skłamać, ale była wdzięczna Jarrodowi i nie chciała, żeby ktoś go obwiniał.

- To nie jego wina. Prosiłam... żeby mnie wypisał. - Z trudem wytrzymała oskarżycielski wzrok Boyda. - Rachunek za pobyt w szpitalu był zbyt wysoki.

Nawet przy dogodnych warunkach spłaty będzie latami wysyłać co miesiąc czek do szpitala. A jeszcze musi znaleźć pracę. Wymamrotał przekleństwo, a Stacy aż się skrzywiła.

- Krótko mówiąc, żeby zaoszczędzić pieniądze, ryzykujesz życie dziecka.

- Nie - jęknęła. - Oczywiście, że nie! Kocham Tory.

- Oczywiście, że tak. - Przeszył ją wzrokiem. - Ale jesteś dumną kobietą, prawda? Nie masz gdzie mieszkać ani co jeść, nie masz nawet kocyka dla dziecka, ale, Bóg świadkiem, że będziesz przestrzegać swoich zasad. - Prychnął z niesmakiem.
- Moim zdaniem, masz niewielką szansę, że utrzymasz to dziecko jeszcze dwa tygodnie. To i tak optymistyczna prognoza.

Wpatrywała się w niego. Lęk ścisnął ją za gardło, a łzy zapiekły pod powiekami.

- Nie mów tak - szepnęła. - Nawet tak nie myśl. Boyd poczuł, że zabolowało go serce. Nie chciał na nią naciskać. Lecz kiedy już zaczął, nie potrafił przestać. Podeszedł do okna i rozsunął zasłony.

Jako dzieciak lubił siedzieć w swoim pokoju na poddaszu i patrzeć w gwiazdy. Pewnego razu chciał je policzyć, ale było ich zbyt dużo. To życzenia, które czekają na spełnienie, mawiała jego babcia. Jeśli teraz były na niebie jakieś gwiazdy, on ich nie widział.

- Karen chciała zostać jeszcze jeden dzień nad morzem - powiedział, wpatrując się w ciemność. - Uwielbiała ocean, ale powiedziałem: nie, nie stać nas na jeszcze jedną noc. Chciałem powiedzieć, że mnie nie stać. Zaproponowała, że zapłaci za pobyt z własnych oszczędności. Nie zgodziłem się.

- Wspominając ostatnią gwałtowną kłótnię, zamilkł, póki nie ułożył sobie w myślach wszystkiego, co może zdradzić Stacy. Co opowiedzieć jej powinien. - Potem zaczęła płakać. Więc ustąpiłem. Powiedziałem, że możemy zostać na jeden dzień i wracać do domu nocą. Było mgliście, paskudna pogoda na jazdę po wąskich drogach. Przypominałem sam sobie, żeby uważać na jelenie. Pamiętam tylko światła z naprzeciwka i krzyk Karen.

Głos Boyda zmienił się. Stacy przygryzła wargę. Chciała mu powiedzieć, aby przestał się zadreć, że nie musi mówić dalej, ale jakiś szósty zmysł nakazał jej milczeć. Może słuchając, jak oczyszcza się z ponurych wspomnień, odpłaci mu za to, co dla niej zrobił.

- Zjechaliśmy z drogi do rowu. Przypominało to jazdę kolejką górską, tylko w zwolnionym tempie. Na dnie wyhamowaliśmy dzięki krzakom jeżyn. - Umilkł, zalany falą wspomnień, wizją koszmaru w nocnej mgle. Znowu próbował wydostać się z wozu, znów przedzierał się przez plątaninę cierni, żeby uwolnić Karen, otwierając drzwi z drugiej strony.

Była w szoku. Jej oczy lśniły oskarżycielsko w świetle reflektorów.

- Boże, było tak zimno - odezwał się. - Karen nie mogła powstrzymać szczykania zębami.

Owinął ją w kurtkę i otulił swoją bluzą, ale nic nie mogło powstrzymać gwałtownego drżenia całego ciała. „Dziecko!” - krzyczała, wbijając palce w jego ramię, kiedy wziął ją na ręce. Jakoś zdołał wejść na zbocze, przy każdym kroku modląc się, żeby ktoś przybył na pomoc: jakiś turysta, kierowca, ktoś miejscowy. Ktoś. Ktokolwiek.

Ale nie spotkał nikogo. Nic, tylko lodowata mgła i droga ciągnąca się w ciemności. Powiedzieli mu potem, że przeszedł osiem kilometrów z Karen na rękach. Osiem koszmarnych kilometrów. Odetchnął głęboko i z trudem się uspokoił.

- Skurcze zaczęły się, zanim dotarłem do szpitala. Karen nie straciła przytomności. Luke zrobił wszystko, co mógł, ale było za późno.

Stacy wstrzymała oddech; wolno wypuściła powietrze, bojąc się wydać jakikolwiek dźwięk. Z jakiegoś powodu Boyd otworzył się przed nią, powiedział jej to, czego pewnie nie mówił nikomu. Ogarnęło ją wzruszenie. Zrozumiała, że ofiarowuje jej coś bezcennego - zaufanie,

- Gdybyśmy znajdowali się bliżej szpitala i Karen natychmiast otrzymałaby pomoc... - Boyd wzruszył ramionami i odwrócił się do Stacy. Twarz miał obojętną, lecz ciemne oczy były pełne rozpacz.

- Oficjalnie przyczyną śmierci Karen były urazy wewnętrzne spowodowane wypadkiem, ale ja wiem lepiej, jak było naprawdę. - Jego głos brzmiał beznamiętnie. - Karen umarła, ponieważ nie mogłem pokonać swojej dumy i pozwolić, by zapłaciła za jeszcze jedną noc. Osiemdziesiąt dolarów, Stacy. Tyle by to kosztowało. Dzisiaj zarabiam więcej w ciągu paru godzin, ale co mi z tego.

Zamknął oczy.

- Co rano budzę się ze świadomością, że zabiłem swoją żonę i dziecko - powiedział po chwili. - Nie chcę, żebyś ty żyła w takim samym piekle.

- Boyd, nie chciałam...

- Proponuję ci mieszkanie, póki nie będziesz dość silna, by sama sobie radzić - przerwał jej chrapliwym głosem. - I pracę, jeśli masz na nią ochotę. Pomogłabyś mi uporządkować papiery, nagromadzone od miesięcy. Ciągle odkładam to na później. Dziewięć dolarów za godzinę: to przeciętna pensja pomocy biurowej, jak ostatnio sprawdzałem.

Z zaciśniętymi ustami wyminął łóżko, wszedł do garderoby i zniknął, nie dając Stacy szansy na odpowiedź. Po kilku sekundach wrócił ubrany w dżinsy i bawełnianą roboczą koszulę. W rękach trzymał buty i niebieski ręcznik. Rzucił go na oparcie krzesła po drugiej stronie pokoju.

- Dokąd idziesz?! - zawołała Stacy drżącym głosem. Boyd dostrzegł znużenie pod łzami lśniącymi na białych policzkach. Poczul się fatalnie.

- Ty musisz odpocząć, a ja potrzebuję ruchu.

Jego umięśnione ciało zdradzało napięcie. Stacy domyślała się, jak wiele kosztowało go otwarcie starych ran. Wysunęła się spod kołdry i podeszła do niego.

- Przykro mi z powodu Karen i dziecka - szepnęła. - Ale musisz wiedzieć, że to nie była twoja wina.

- Owszem - odparł spokojnie i stanowczo. - Była.

Wyminąłby ją, ale Stacy chwyciła go za ramię i zatrzymała. Patrzył przed siebie nie widzącym wzrokiem, a twarz miał jak z kamienia - jakby żałował, że otworzył przed nią drzwi do swojej przeszłości.

- Ja... - umilkła. Nie warto się z nim kłócić, przynajmniej nie na temat poczucia winy ani jej dumy. Miał rację. Była głupia, upierając się, by Jarrod wypisał ją ze szpitala. Głupia i

samolubna. - Boję się, Boyd - przyznała drżącym głosem. - Obawiam się, że możesz mieć rację. Mogę stracić dziecko. Wiem, powinnam zostać w szpitalu, ale... - Wargi jej zadrżały, a oczy wypełniły się łzami. - Obiecałam sobie, że koniec z płaczem.

Objął ją bez słowa, silną dłonią przycisnął głowę Stacy do swego ramienia. Przymknęła oczy, wbijając palce w jego ciepłe, twarde plecy. Były jak mur dzielący ją od straszliwego lęku.

- Wszystko w porządku, kochanie - wymruczał, ciepłym oddechem owiewając jej skroń. - Nie przejmuj się. Płacz, ile chcesz. Może to nie jest takie złe.

Przełknęła ślinę.

- Nie, ale niezdrowe dla Tory. Czytałam, że dzieci są równie wyczulone na nastrój matki, jak na bodźce fizyczne.

- To może powinniśmy dopilnować, żeby twój nastrój się zmienił. - Boyd uniósł jej głowę, pogładził ciepłą dłonią policzek. Otworzyła oczy i zobaczyła, że ją obserwuje. Chciała mu podziękować, lecz musnął wargami jej usta.

- Pozwól, że się tobą zaopiekuję... Zaopiekuję wami obiema, dopóki nie będziesz dość silna i samodzielna. - Znowu dotknął jej ust wargami. Delikatnie. Miętko.

Stacy zadrżała.

Boyd czuł, jak ta dzielna istota słabnie przy nim, i starał się zachować dystans. Była delikatna i przestraszona, wciąż jeszcze w szoku. Potrzebowała pociechy i pomocy, a nie seksualnych podniet.

Dopóki Stacy będzie pod jego dachem, jest nietykalna. Nieważne, jak chętne i ciepłe wydawało się jej ciało i jak słodkie były jej usta. To nic, że nie mógł swobodnie oddychać, gdy był z nią w jednym pokoju. Wystarczyło, by spojrzała na niego, a już jej pożądał.

Walcząc z ogarniającymi go pragnieniami, potarł policzkiem jej włosy i pogładził plecy palcami, które nie były tak spokojne, jak by tego pragnął.

- Lepiej się czujesz? - zapytał, gdy był już pewien, że zapanuje nad głosem.

Uśmiechnięta, odsunęła się, wciąż opierając o niego swój brzuch. Z wahaniem uniosła dłoń do jego twarzy i przesunęła palcami po szorstkich płaszczyznach.

- Boyd, czy zdołam ci się kiedyś odwdzięczyć? - szepnęła. - Co ja bym bez ciebie zrobiła przez te ostatnie dni?

- Już mi się odwdzięczyłaś, więc daj temu spokój.

- Ale...

- Wierz mi, Stacy. Jesteś mi bardziej potrzebna niż ja tobie. Miała co do tego poważne wątpliwości i powiedziała mu o tym.

- Nie widziałaś jeszcze bałaganu na moim biurku - oświadczył i odsunął się trochę, by spojrzeć jej w oczy.

- Może powinnam się potargować o wyższą pensję.

- Bierze pani tę pracę czy nie, pani Patterson? Zauważyła, że kąciki ust Boyda uniosły się w uśmiechu, i w tej właśnie chwili poczuła się znów młoda, zdolna przeskakiwać wieżowce. Kiedy otaczały ją ramiona tego mężczyzny, przyszłość nie wyglądała tak ponuro.

- Chyba wezmę. - Westchnęła i dodała: - Ale jedno musimy sobie wyjaśnić. Nie będę spała w twoim łóżku.

Zmarszczył brwi i zerknął na zmiętą pościel.

- Jeśli myślisz o nieprzyzwoitych propozycjach z mojej strony, możesz o tym zapomnieć. - Odsunął się nieco.

- Nie o to mi chodziło. - Powracał ból głowy, czuła się dziwnie oderwana od własnego ciała. - Wiem, że ty... że ja... Chciałam powiedzieć, że zostanę tu pod warunkiem, że cię stąd nie wyrzucę. Z twojego łóżka.

- Czy to znaczy, że mamy się nim podzielić?

- Nie.

- Nawet jeśli obiecuję, że nie będę ściągał kołdry ani cię łąskotał? - powiedział kpiącym tonem.

Stał tak blisko, że dokładnie widziała złociste końce rzęs i błyszczące szare oczy. Nabrała tchu i zaczęła od początku:

- Chciałam powiedzieć, że z całą pewnością będzie mi bardzo wygodnie na sofie...

Pokręcił głową.

- Za wąska na was dwie. Najprawdopodobniej już pierwszej nocy będziesz spała na podłodze.

Spojrzał na jej brzuch. Tory kopnęła mocno - złośliwie albo dlatego, że się z nim zgadzała. Stacy skrzywiła się, potem westchnęła i pogładziła czułe miejsce przy pępku.

- W porządku, zrozumiałam.

- Kopnęła cię, co?

- Solidnie - uśmiechnęła się Stacy. - Zaczynam już wierzyć, że będzie pierwszą sławną kobietą w historii amerykańskiego futbolu. - Poczowała kolejne kopnięcie i roześmiała się lekko. - Przykro to mówić, ale jest zdecydowanie nocnym markiem. Śpi całymi dniami, a w nocy urządzi prywatki. Kilka razy próbowałam ją skarcić, ale nie zwracała na mnie uwagi.

- To brzmi jak wyzwanie - oświadczył chrapliwie, jakby wciąż był uwięziony między tu i teraz, a koszmarem przeszłością.

Czy Prudy wspomniała, że dziecko, które stracił, było dziewczynką?

- Chciałbyś... chciałbyś jej dotknąć? - zapytała.

Zanim zdążył odpowiedzieć, chwyciła go za rękę i przycisnęła do miejsca, gdzie wciąż tkwiła mała stópka Tory. Dziewczynka zareagowała na nacisk kolejnym mocnym kopnięciem prosto w środek szerokiej dłoni Boyda.

Straszliwy smutek przemknął po jego twarzy. Na moment zamknął oczy i pochylił głowę. Potem jego twarz się zmieniła, rysy stwardniały. Zanim jeszcze odstąpił na krok i opuścił rękę, Stacy uświadomiła sobie, że przekroczyła pewien próg, jakby ze słonecznego dnia przeszła do zimnego, pustego pokoju.

- Boyd, przepraszam - rzuciła szybko, zanim zdążył się odwrócić. - Powinnaś wiedzieć...

- Już późno. Ty powinnaś spać, a ja muszę się czegoś napić.

W chwilę później porwał z komody klucze, portfel i wyszedł.

Byle dalej od własnego domu.

Byle dalej od niej i jej niezręcznych prób pocieszenia.

Stacy obudziła się o czwartej. Przez ostatni miesiąc, kiedy Tory zajęła większość miejsca w brzuchu mamy, Stacy nie mogła spać. Wytrzymywała najwyżej trzy godziny między wizytami w toalecie. To jedna z rozkoszy ciąży, przypomniawszy sobie złośliwie i poczłapała na korytarz. Łazienka była zaraz po prawej stronie. Trochę dalej zauważyła następne drzwi. To pewnie pracownia Boyda, pomyślała, wślizgując się do łazienki. Kilka minut później wróciła, mrugając powiekami, oślepiona ostrym blaskiem lampy.

Miała już zamiar wskoczyć do łóżka, kiedy od strony salonu usłyszała gardłowy krzyk, a potem niski głos Boyda: urywki słów, przekleństw, strzępy nie powiązanych zdań, które nie miały żadnego sensu. Pewne było jedynie to, że cierpi, walczy z demonami ciemności. Drżąc w chłodzie przedświt, ruszyła w stronę źródła dźwięku.

Salon pogrążony był w mroku, rozpraszany tylko przez słabe światło latarni, wpadające przez frontowe okna. Wyciągając przed siebie ręce, szukała drogi w labiryncie

ciemnych kształtów. Dotarła do sofy, gdzie leżał Boyd. Jedną ręką zwisała mu, dotykając podłogi, drugą oparł na piersi.

Była metr od niego, kiedy potknęła się o stos poduszek, które pewnie zrzucił, żeby mieć więcej miejsca. Pochyliła się nad nim i wyszeptała jego imię. Kiedy nie zareagował, zawołała głośnie. Wymruczał coś niechętnie i otworzył oczy.

- Co się stało? - spytał, wstając natychmiast. - Boli cię?

Stacy nie pamiętała, żeby kiedyś coś ją tak wzruszyło. Oto stał przy niej z oczami wciąż ciemnymi od koszmaru, z którego go wyrwała, i martwił się, czy ona dobrze się czuje. Kilka razy musiała przełknąć ślinę, zanim nabrała pewności, że głos nie zdradzi jej uczuć.

- Nie mogłam zasnąć i pomyślałam, że mogłaby mi pomóc ta ziołowa herbata, o której wspomniałeś.

- Herbata? - Boyd przeczesał palcami włosy. Kiwnęła głową.

- Przepraszam, że cię obudziłam, ale nie chciałam bez twojej zgody tłuc się nad ranem w twojej kuchni.

Chwycił ją za ramiona.

- Przyniosę ci. A ty wracaj do łóżka, tam jest ciepło.

Ciepło? Musiało być ponad dwadzieścia pięć stopni, nawet przy otwartym oknie. Chciała zaprotestować, ale zauważyła surową twarz Boyda. Udało już jej się wyrwać go z dręczącego koszmaru, więc bez słowa pozwoliła, by odwrócił ją w stronę sypialni.

- Biegiem - polecił szorstko, jakby miała cztery lata i przeszkadzała dorosłym. Ale przynajmniej z jego oczu zniknęła już czarna rozpacz.

- Dwie łyżeczki cukru! - zawołała przez ramię i pomaszerowała do sypialni, do jasnoniebieskiej pościeli, pachnącej jak mężczyzna, który tu sypiał.

Jeśli już musi pić ziołową herbatę, której zawsze szczerze nie cierpiała, to niech przynajmniej będzie słodka.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Stacy miała piękny sen o wiosennym pikniku i twardym męskim ciele, przyciskającym ją do miękkiej, wonnej trawy. Z tego snu wyrwał ją jakiś huk. Chwilę po nim usłyszała zduszone przekleństwo.

Boyd najwyraźniej ubierał się do pracy: miał na sobie śmieszny prążkowany podkoszulek oraz dżinsy. Widząc, że się obudziła, zmarszczył czoło.

- Przepraszam, upadł mi but.

Uśmiechnęła się, leżąc nieruchomo w rozjaśnionej słońcem sypialni, wciąż lekko zaspana.

- Nie ma sprawy - wymruczała, tuląc policzek do poduszki.

Jej sen był pełen seksu i słońca. Silne dłonie Boyda gładziły jej nabrzmiąły brzuch, a jego oczy ciemniały z pożądania.

Westchnęła ciężko.

- Przynajmniej słońce jasno świeci - mruknęła, otrząsając się z rozkosznych wrażeń, jakie przeżywała parę chwil temu.

Westchnęła jeszcze raz, odgarnęła włosy z twarzy, a potem spróbowała rozwiązać nieprzyjemny problem siadania. Odkąd pamiętała, miała skłonność do tkwienia jak najdłużej w mrocznym cieple między jawą a snem.

- Może chciałabyś pojechać na targ? Zajrzę koło południa i zabiorę cię na zakupy. - Boyd ustawił buty przy krześle i wciągnął roboczą koszulę.

- Niczego mi nie trzeba, naprawdę.

Boyd zapiął kilka guzików, a potem wepchnął koszulę do spodni.

- Potrzebujesz mleka, świeżych jarzyn i soków - kontynuował, jakby w ogóle się nie odzywała.

- Boyd, nie przesadzaj.

Spojrzał na nią zniecierpliwiony i zapiął pasek.

- Prudy mówiła, że ma dzienną zmianę, więc nie będzie jej w domu, a tam, gdzie pracuję, nie ma telefonu. Więc gdybyś potrzebowała... czegoś, dzwoń na 911. Zrobisz tak?

Miała ochotę zasalutować, ale tylko z powagą kiwnęła głową.

- Zrobię.

Boyd wyczuł zartobliwą irytację w jej głosie i zrezygnował z dalszych uwag. Zanotował tylko w pamięci, żeby do listy zakupów dopisać telefon komórkowy. Z powagą wsunął stopy w buty. Dostrzegł, że Stacy podciągnęła kolana, oparła na nich brodę i obserwuje go z tą mieszaniną zaciekawienia i podziwu, która przyspieszała mu bicie serca.

Wrócił pamięcią do chwili, kiedy zjawił się tu, po nie przespanej nocy, po czyste rzeczy.

Tłumaczył sobie, że to nic takiego, że aż zbyt wiele razy widywał śpiące kobiety. Młode, stare, przeciętne i piękne. Pacjentki, garstkę kochanek z czasów, zanim poznał Karen, nawet Prudy, która po szczególnie ciężkim dyżurze miała skłonność do błyskawicznego zasypiania.

Stacy była kimś innym, kimś specjalnym. Mimo ciężkich przeżyć ostatnich miesięcy była dostatecznie silna, by stawić czoło kolejnym problemom, takim jak pusty portfel, brak mieszkania i dziecko. Przekomarzała się i śmiała, rozjaśniała jego dom w sposób, który tyleż go zachwycił, co przerażał.

Podziwiał ją, chciał chronić i wspierać.

Jednak jego ciało buntowało się przeciwko zasadom, które sobie narzucił. Widok śpiącej Stacy wzburzył w nim krew.

Do diabła, przecież jej pragnął. Nawet teraz, w jasnym świetle dnia, kiedy wciąż widział zmęczenie w jej zielonych oczach, pragnął wsunąć się pod kołdrę i przytulić ją do siebie.

Poczuł dreszcz i wiedział, że niewiele brakuje, by to właśnie zrobił. Zmarszczył czoło, i szybko ruszył do drzwi.

- Zrobiłem herbatę - niemal warknął przez ramię. - Zanim wyjdę, przyniosę ci filiżankę.

Boyd odłożył na bok stary numer „National Geographic”, nie kończąc lektury artykułu o nowo odkrytym cmentarzysku Inków, i raz jeszcze spojrzął na zegarek.

Wciąż było wcześnie, przed ósmą. Jak dotąd, był sam w małej poczekalni porodówki szpitala w Portland. Przyszedł zobaczyć się z Lukiem Jarrodem.

Jako mężczyzna o ustalonych zwyczajach, Luke zawsze zaczynał obchód o szóstej, chyba że musiał odbierać poród. Przeklęty pech, pomyślał Boyd z irytacją, zerkając na podwójne drzwi przed sobą.

Kiedy ostatnim razem znalazł się w tej części szpitala, były niebieskie. Ostatni raz, to znaczy po wypadku Karen. Próbował powstrzymać wspomnienia, ale napłynęły gwałtowną falą. Zanim karetka dowiozła Karen na izbę porodową, zanim ją przygotowali, widoczna już była główka tak mała, że można by ją ująć w dłoń. Niemal pękł z dumy, gdy zobaczył ciemnoniebieskie oczy córki. Widział te oczy co noc, gdy tylko przymykał powieki.

Anna Elena MacAuley żyła niecałe dziesięć minut. Nawet najnowsza i najlepsza technika nie zdołała zastąpić jej płuc, które nie zdążyły się w pełni rozwinąć. Stracił Karen i ją.

Pamiętał wściekłe przekleństwa Luke'a, smutne twarze pielęgniarek, przyciszone głosy, dyskretne spojrzenia pełne współczucia. Ktoś, chyba Luke, wyprowadził go do pustego pokoju, a po chwili wcisnął mu w rękę kubek gorącej kawy.

Co wtedy mówił, kiedy wyszedł ze szpitala - nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że siedł bardzo długo w lepkiej zimowej mgle... tak długo, że już dalej nie potrafił. Jakoś wrócił do domu i spał jak zabity przez osiemnaście godzin.

Przełożony zaproponował mu miesiąc urlopu. Czas na żałobę, wytłumaczył ordynator chirurgii z niezręczną

delikatnością, której Boyd mu nigdy nie zapomniał. Wykorzystał dwa tygodnie, a potem wrócił do pracy. Był zbyt niespokojny, zbyt spięty, by wypoczywać. Stopniowo dni popłynęły utartym trybem. Koledzy nie wspominali o Karen ani o dziecku, za co był im wdzięczny.

Minął miesiąc, dwa, zima przeszła w wiosnę. Rozkwitły żonkile. Pomalował dom, nauczył się gotować. Tego roku na Wielkanoc barometr poszedł w dół i zapowiadany deszcz zmienił się w deszcz ze śniegiem. Ofiar wypadków było tyle, że wieczorem wszystkie sale operacyjne miały już listę oczekujących. Po północy zaczęło brakować krwi, zużyli nieskończoną ilość rękawiczek chirurgicznych. Wtedy właśnie zaczął się przygotowywać do następnej operacji.

Pacjentka była młoda, w ciężkim stanie; miała przebitą śledzionę. Rozciął ją i założył zaciski, a potem spojrzął na jej twarz i zobaczył Karen.

Po wielu tygodniach opowiedzieli mu, że skończył operację, zdjął rękawiczki i zniknął. Kiedy następnego dnia nie pojawił się na swojej zmianie, zadzwonili do Prudy, żeby sprawdziła, co się z nim dzieje. Znalazła go w fotelu na biegunach siedzącego w dzieciennym pokoju. Wciąż miał na sobie fartuch, a w rękach trzymał pluszowego misia, którego kupił parę miesięcy temu.

Ten cholerny miś nadal leżał w pokoju, wrzucony w kąt łóżeczka, gdzie cisnął go w ataku szału.

Przez długi czas udawało mu się zapomnieć o tym załamaniu. A potem, bez żadnych powodów, oczy zachodziły mu mgłą, a ręce zaczynały drżeć.

Długo już był sam i nie zamierza! tego zmieniać. Między innymi dlatego unikał szpitala i ludzi, którzy znali go wcześniej. Wszystkich oprócz Prudy, a i to tylko dlatego, że nie mógł przecież unikać najbliższej sąsiadki.

Musiał się mszyć. Wstał i poszedł napić się wody. Miał ochotę stąd uciec, lecz wrócił i usiadł w miejscu, skąd musiał dostrzec nadchodzącego Luke'a.

Było piętnaście po ósmej, kiedy drzwi otworzyły się wreszcie i pojawił się Luke. Starszy od Boyda o sześć czy siedem lat, wciąż był szczupły i wysportowany. Tradycyjnie spuszczał Boydowi lanie na korcie. Zauważył Boyda, zatrzymał się w pół kroku i uśmiechnął się szeroko.

- MacAuley, stary łobuzie. - Podszedł i uścisnął Boydowi rękę. - Cieszę się, że cię widzę. Naprawdę się cieszę.

- Czy tak bardzo, że złamiesz dla mnie parę przepisów? Luke zmrużył oczy.

- To zależy, o jakie przepisy ci chodzi. Boyd odetchnął głęboko.

- Chodzi mi o Stacy Patterson. Chciałbym obejrzeć jej kartę.

- Dobrze, nie ma sprawy.

Luke przeciągnął się i popatrzył na automat z kawą przy końcu korytarza.

- Masz jakąś ćwierćdolarówkę?

Boyd sięgnął do kieszeni i wyciągnął garstkę monet.

- Wystarczy na dwa kubki tej trucizny - powiedział, kiedy przeliczył drobne.

- Czyli zakochałeś się w jednej z moich pacjentek, tak? - rzucił Luke, patrząc, jak Boyd karmi monetami automat.

Boyd spojrzał na niego groźnie, a Luke uniósł dłonie w geście kapitulacji.

- Mój błąd! - zawołał. - Po prostu wyraziłem nadzieję.

- Raczej strzelałeś po omacku. - Wręczył Luke'owi kubek pełen mętnej czarnej cieczy, wydzielającej aromat palonych ziaren.

- Smakuje jak olej silnikowy - mruknął Luke. - Człowiek odzwyczaja się od dobrej kawy.

Podeszli do drzwi wychodzących na małe patio, wciśnięte w betonowy kanion budynku szpitala. Pod parasolami tkwiły dwa bliźniacze stoliki i parę krzeseł. Promienie słońca, które zdołały sięgnąć tu ponad szpitalnym murem, były blade i rozproszone.

- Co słysząc u Marlyssy? - zapytał Boyd, siadając. Luke skrzywił się i zajął miejsce naprzeciwko.

- Z tego, co słyszałem, wyszła za księgowego.

- Powiniennem powiedzieć, że mi przykro? Luke wzruszył ramionami.

- Chciałem mieć dzieci, a ona nie.

Marlyssa Evans chodziła do tej samej eleganckiej prywatnej szkoły, co Karen. Była jej druhną na weselu. Luke tylko raz spojrział na kruczowłose dziewczę i wpadł. Energia seksualna, jaka krążyła między nimi, wystarczyłaby do oświetlenia miasta i choć personel szpitala obstawiał, że romans potrwa najwyżej tydzień, przeciągnął się na dobre cztery czy pięć lat. Trwał dłużej niż małżeństwo Boyda.

- Mów, o co ci chodzi w związku z panią Patterson - zażądał Luke.

Boyd przyciągnął puste krzesło i oparł nogę o siedzenie.

- O nic nie chodzi. Po prostu opiekuję się nią, póki sama nie stanie na nogi.

Luke z ponurą miną studiował zawartość swego kubka.

- Powiedziała ci, że wypisała się na własną prośbę?

- Tak. Rozumiem, że nie byłeś tym zachwycony? Luke wypił kolejny łyk.

- Klóciliśmy się prawie przez godzinę. Użyłem wszystkich argumentów. Zrobiłem jej wykład o nieprzewidywalnych skutkach wstrząsu. Ostrzegłem, że przedłużony stres może pogorszyć stan dziecka. - Pokręcił głową i westchnął. - Ta kobieta jest przymilna jak tygodniowy

kociak, ale uparta jak najgorsza oślica, którą miałem pecha spotkać w życiu.

- Nie ma pieniędzy. Zupełnie. Nazywa to „porozwodowymi komplikacjami”.

- Więc o to chodziło: o moje honorarium. - Luke parsknął śmiechem. - Do licha, Boyd, nie musiałeś mi stawiać kawy, żebym z niego zrezygnował.

- Nic z tego. Wiedziałyby, że to jałmużna. - Uniósł głowę, a kolega przyglądał mu się w zamyśleniu.

- Masz lepszy pomysł?

- Wystaw rachunek na tyle, żeby wyglądało to sensownie, a mnie przyślij dodatkowy rachunek. - Boyd uniósł kubek i przełknął gorzki płyn. Ciecz paliła gardło i żołądek, ale potrzebował kofeiny. - I nie musisz się z tym spieszyć.

- Nie ma sprawy. Jeszcze coś?

- Tylko szczerze, Luke. Jakie pani Patterson ma szanse na normalny poród?

- Jeśli będzie słuchać zaleceń, unikać stresów, długich podróży samochodem i nie będzie podnosić niczego cięższego od książki, to bardzo duże. Powoli może zacząć normalnie funkcjonować.

- Możesz to określić dokładniej?

- Krótkie jazdy samochodem, lekkie prace domowe, ograniczone ćwiczenia, siedząca praca - wyjaśniał wolno Luke. - Spokojny i ostrożny seks z poważnym partnerem, gdyby cię to interesowało.

- Wypchaj się, Jarrod.

- To najlepszy lek, jaki lekarz może przepisać. Dla was obojga.

Boyd, nagle spięty, poprawił się na krześle. Zadał już wszystkie pytania... oprócz jednego.

- A co z dzieckiem?

- O ile mogę tak powiedzieć, jest idealnie zdrowe. Wody czyste, puls silny. Wygląda na to, że mała jest twarda jak jej matka.

Głos Luke'a emanował pewnością siebie.

- Jeszcze jedno pytanie. Dlaczego chciałeś zatrzymać Stacy na parę dni?

- Głównie w celach profilaktycznych. - Luke dopił kawę i zgniół w dłoni kubek. - Przynajmniej tak napisałem na karcie.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Luke wyszczerzył zęby.

- Może nie zauważyłeś, staruszk, ale to bardzo seksowna babka.

- A może ty nie pamiętasz, staruszk, że to twoja pacjentka. I jest w ciąży.

- Przykro to mówić, ale masz rację. W obu przypadkach. - Luke westchnął i odwrócił twarz do słońca. - Muszę się przyznać, że gdyby nie była moją pacjentką, zacząłbym szybko stosować moją sztukę zalotów.

- Akurat!

Luke wyciągnął długie nogi i przymknął oczy.

- Przez ostatnie dni byłeś jak półżywy, więc pewnie nie zauważyłeś, jaka jest ładna pod tymi siniakami. Ma delikatną skórę, taką w sam raz do głaskania. - Otworzył jedno oko, zerknął na Boyda i zamknął je z powrotem. - Sądzę, że każdy mężczyzna mógłby uważać się za wybrańca losu, gdyby posmakował takich ust więcej niż raz w życiu. Ale ty to już wiesz, szczęściarzu. - Westchnął i otworzył oczy. - Pewnie już zapomniałeś, jak to jest w szpitalu, co? Tu nie istnieje prywatność.

Boyd poczuł, że żołądek zaciska mu się w supeł. Zaklął pod nosem i usłyszał chichot.

- Słyszałem, że siostra Schultz przyjmuje zakłady dotyczące daty waszego ślubu.

Boyd wstał z kamienną miną.

- Coś ci poradzę. Nie marnuj pieniędzy. - Wrzucił kubek do kosza i miał zamiar wyjść, gdy drzwi otworzyły się nagle i na patio weszła Prudy.

- Prywatna impreza? Czy mogę się dołączyć? - spytała, podchodząc.

W jednej ręce trzymała kubek z kawą, a w drugiej papierowy talerzyk z pączkiem owiniętym w celofan. Miała na sobie różowy fartuch z fioletowymi dodatkami i białe szpitalne spodnie.

- Witaj, moja piękna - rzucił Luke i wyprostował się. - Siadaj.

- Wchodzisz czy wychodzisz? - spytała Boyda, stając przy stoliku.

- Wychodzę.

Prudy dostrzegła irytację w jego głosie i zastanowiła się, co takiego mu powiedział Luke.

- W takim razie miłego dnia i nie spadnij z jakiejś drabiny. Postawiła na stole kubek i talerzyk z pączkiem.

- Trafiło go - mruknęła, gdy Boyd zniknął za drzwiami.

- Ma wszelkie objawy świadczące o zakochaniu, ale walczy z tą chorobą jak może.

Luke kiwnął głową i uśmiechnął się.

- Mam wrażenie, że to nieuleczalne.

Roześmiana Prudy usiadła na krześle opuszczonym przez Boyda.

- Jeżeli zupełnie nie straciłam umiejętności diagnozowania, ta dama, o którą chodzi, szaleje na jego punkcie.

- Czy Boyd już pogodził się ze stratą Karen?

Prudy zastanawiała się, rozwijając folię okrywającą ciastko. Boyd i Stacy tak doskonale do siebie pasowali...

- Pamiętasz, jak okropnie wyglądał na pogrzebie? - spytała, przypominając sobie bladą twarz Boyda i jego oczy zaszczonego zwierzęcia.

Luke kiwnął głową. On także pamiętał ten dzień.

- Nie liczyłbym za bardzo na szczęśliwy koniec, Prudy. Mam wrażenie, że nic z tego nie wyjdzie.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nie jest to wykwinny posiłek, uznała Stacy, posypując tartym serem sałatkę, którą stworzyła z przywędłej sałaty, garści orzeszków i dwóch gotowanych jajek. Z niechęcią myślała o tym naprędce przygotowanym obiedzie: mrożona pizza, sałatka i na deser herbatniki z masłem orzechowym, które znalazła w smętnie pustej spiżarni Boyda.

Kuchnia Boyda była marzeniem każdej gospodyni. Miała wszelkie udogodnienia i była niemal chirurgicznie sterylna. W przeciwieństwie do jej mieszkania, gdy jeszcze je miała, ten dom był zorganizowany z niezwykłą precyzją. Z wyjątkiem pokoju na końcu korytarza...

Przygryzła wargę i jeszcze raz przetarła ściereczką nieskazitelnie czysty blat. Przypomniała sobie widok, jaki ją powitał, gdy rano otworzyła drzwi do pokoju, który uważała za pracownię Boyda. Okazało się, że to zrujnowane coś, co było kiedyś uroczym pokojem dzieciennym.

Wstrząśnięta i przestraszona, mogła sobie tylko wyobrażać rozpacz Boyda, gdy demolował ten pokój. Łóżeczko i bujany fotel zmienił w stos malowanych patyków, roztrzaskał lampę i figurki, aż nie zostało nic prócz kolorowych odprysków na jasnoszarym dywanie. Oczyma wyobraźni widziała, jak rozrywa pluszowe misie, tygrysy i pingwiny, które kiedyś miały wywoływać uśmiech na twarzy ukochanej córki.

Zadrzała znowu. Boyd stanął oko w oko z szaleństwem i jakoś je przeżył. W pewnym sensie.

Teraz naprawiał domy, a nie ludzkie ciała. Człowiek, który krzyczał przez sen i nienawidził siebie za to, że przeżył. Mężczyzna, który wziął ją w ramiona z czułością, nadal wywołującą łzy.

Nagle dojrzała go przez okno. Szedł chodnikiem, dźwigając duże tekturowe pudło. Serce jej zadrzało.

- Cześć - powiedziała. Zanim wszedł, odzyskała panowanie nad sobą. - Wróciłeś na lunch.

Zmarszczył brwi tak, jak tego oczekiwała.

- Myślałem, że zjemy lunch na mieście. Podejrzewała, że często jadał poza domem, samotny w tłumie ludzi.

- Nie wiedziałam, ile będziesz miał czasu, więc... - Wskazała dłonią stolik, gdzie ułożyła serwetki i sztucce. - Wszystko gotowe, oprócz pizzy. Zgodnie z przepisem, potrwa to osiemnaście minut. Może chciałbyś się na przykład umyć?

Gdy wkładała pizzę do piekarnika, Boyd ustawił pudło na podłodze obok lodówki i wyprostował się wolno. Był zdziwiony i zachwycony zarazem, że Stacy czeka na niego w kuchni z tym delikatnym uśmiechem na twarzy. Wstrzymał oddech, by uspokoić przyspieszone bicie serca.

Zwymyślał się od najgorszych. Rankiem w ciągu czterech godzin wykonał pracę, która zwykle zajmowała mu osiem. Rozbolały go wszystkie mięśnie. Kiedy podjechał pod dom Wattchela, szukał bójk. Ale i to się nie udało. Pijany właściciel domu był równie opryskliwy jak zwykle, ale nie na tyle głupi, żeby dać Boydowi pretekst do awantury.

- Jak się czujesz? - zapytał, patrząc na zarumienioną twarz Stacy.

- Zadziwiająco dobrze - odparła i uniosła głowę. - Wreszcie jestem czysta. Chyba przez godzinę moczyłam się w wannie. - Zaśmiała się lekko zawstydzona. - Byłam rozleniwiona. I to mi się spodobało.

Wyobraził sobie jej drobne ciało zanurzone w pianie, śmietankową skórę pokrytą wilgocią pary i smukłe nogi, podciągnięte, by zrobić mu miejsce w wannie.

Nagle nie wiedział, co zrobić z rękami, więc wcisnął je do kieszeni.

- Wpadłem do twojego dawnego mieszkania i zabrałem wszystko, czego Wattchel nie zdążył sprzedać.

Łzy błysnęły w jej oczach.

- Przywiozłeś moje fotografie. I mój pled! - zawołała, wyjmując z pudła miękki wełniany koc. - To była pierwsza rzecz, jaką kupiłam dla dziecka.

Kiedy przytuliła policzek do kolorowego koca i zamruczała z rozkoszy, poczuł napięcie. Wydawała się zdrowsza niż do tej pory: sińce niemal zniknęły, a cera straciła chorobliwą bladość. Włosy, wciąż trochę wilgotne, zebrała i upięła na czubku głowy. Gdzieniegdzie niesforne kosmyki wysuwały się spod spinek i opadały na szczupłe ramiona. Zaszło mu w gardle, gdy wyobraził sobie, że wodzi po nich językiem i wdycha egzotyczny zapach jej skóry.

Odetchnął głęboko, próbując okiełznać nieposłuszne myśli.

- Wattchel sprzedał prawie wszystko poza pledem. Dostał więcej, niż mu byłaś winna. Reszta rzeczy należy do ciebie.

Z kieszeni koszulki wyjął dziesięć złożonych dwudziestek.

- Przykro mi, że tylko tyle. - Podał jej banknoty.

- To majątek - stwierdziła, a jej oczy rozbłysły pod gęstymi rzęsami. - Wystarczy na pieluchy i ubranka. - Miała już schować pieniądze do kieszeni, gdy nagle zawahała się. - Jesteś pewien, że to od Wattchela?

- Słowo skauta. - Boyd podniósł trzy palce, zadowolony, że już w latach młodości potrafił zachować kamienną twarz.

- Naprawdę byłeś skautem? - spytała z powątpiewaniem.

- Tak. - Kiwnął głową. - Dopóki nie wyrzucili mnie za bójki.

Porządnie stłukł Johnny'ego Melrose'a za to, że się nabijał z jego zniszczonego, przykrótkiego mundurka.

- W takim razie przyjmuję te pieniądze - oznajmiła wesoło. - To znaczy, że teraz stać mnie, żeby płacić ci czynsz.

Boyd zamarł. Cholera, o tym nie pomyślał.

- Daj sobie z tym spokój.

- Pomyślmy, jaka byłaby uczciwa cena? - Oblizła dolną wargę, co przyprawiło Boyda o dreszcz podniecenia.

- Stacy, powiedziałem: nie. Nie wezmę od ciebie pieniędzy.

- Pięćdziesiąt dolarów miesięcznie? I połowa za zakupy.

- Nie. - Boyd zgrzytnął zębami.

- No dobrze, sześćdziesiąt, ale to moje ostatnie słowo. Uradowana, wyciągnęła trzy dwudziestki, złożyła je i włożyła mu do kieszeni koszuli.

- Nie tak umawialiśmy się zeszłej nocy.

- Jak chcesz. Wobec tego pójdę i spakuję moje rzeczy. - Zawróciła do salonu, ale Boyd zablokował jej drogę. Zanim zdążyła się cofnąć, poczuła, jak jej ciało ogarnia żar.

- Zawsze byłaś uparta, czy dopiero teraz taka się stałaś, żeby doprowadzić mnie do szaleństwa? - wyrzucił z siebie. Nie było to właściwie pytanie, co stwierdzenie faktu.

- Przygarnął kocioł garnkowi. Gdybyś ty nie był uparty, siedziałabym sobie w uroczym motelowym pokoiku i obserwowała wyścigi karaluchów.

- A co ci tu nie odpowiada? - zapytał zdziwiony.

- Nic, czego nie naprawiłaby odrobina zwykłego bałaganu. Spojrzał z urazą na nią, a potem na lśniącą kuchnię.

- Według mnie wygląda dobrze - oznajmił, rozglądając się wokoło.

- Jest trochę zbyt... sterylna, ale przypuszczam, że to normalne w domu lekarza - stwierdziła z rozbawieniem.

- Stolarza.

- Tak, oczywiście. - Uśmiechnęła się promiennie i zerknęła na zegar piekarnika. Pizza była prawie gotowa. - Widzisz, o co mi chodzi? - Otworzyła szufladę. - Nawet rękawice kuchenne są ułożone z ogromną precyzją.

Mruknął coś, a ona z uśmiechem wyjęła rękawice.

- Zawrzyjmy układ, MacAuley. Ty pozwolisz mi trochę pobałaganić w swoich szafkach, a ja pozwolę ci tu porządzić. W granicach rozsądku, naturalnie.

Boyd roześmiał się głośno.

- Chyba wpadłem po uszy - burknął, potem wziął od niej rękawice. - Siadaj, wyciągnę tę piekielną pizzę.

Stacy miała ochotę śpiewać z radości. Zdarzył się cud: jej smętny rycerz naprawdę się roześmiał.

- Stacy, nie chcę, żebyś przygotowywała mi lunch. Zajmij się tylko księgowością.

Słyszając nutę dezaprobaty w głosie Boyda, uniosła głowę znad herbatników, które smarowała dżemem.

- Potrzebuję jakiejś odmiany po całym dniu spędzonym na rozszyfrowywaniu twojego pisma - odparła, wzdychając ciężko.

Znieruchomiał z dzbankiem kawy w dłoni.

- Słuchaj, jeśli to dla ciebie za trudne, to powiedz. Papiery leżą tam od miesięcy. Parę dni czy tygodni nie ma znaczenia.

- Boyd, jedyne co robię, to siedzę przy tym małym biurczku w pokoju i przekładam papiery.

Wlał kawę do termosu i odstawił dzbanek.

- Jarrod kazał ci odpoczywać - przypomniał szorstko.

- I odpoczywam.

Zmarszczka na czole stała się jeszcze głębsza. Wyobraziła go sobie na sali operacyjnej, spoglądającego groźnie ponad maską chirurgiczną na asystentów. Dużą przykrość sprawiała jej myśl, że z każdym mijającym dniem zapomina umiejętności, które z takim trudem zdobywał i doskonalił.

- Żadnego chodzenia po schodach, długich podróży, żadnych stresów.

Stacy westchnęła, trzymając w ręku uniesiony nóż.

- Boyd, czy co rano musimy o tym mówić? Bo jeśli tak...

- Kapie.

- Co? - Zamrugła powiekami.

Skinął głową w stronę blatu, unosząc kąciki ust w lekkim uśmiechu, który zaczynała już kochać.

- Dżem.

Spojrzała w dół, zdążyła pochwycić palcem lepką kroplę. Boyd sięgnął po serwetkę, ale zanim zdołał jej podać, uniosła palec do ust i zlizwała dokładnie dżem.

Boyd poczuł, że cały sztywnieje. Wciąż jej pożądał, choćby z całych sił starał się temu zaprzeczyć. Pragnął wsunąć dłonie pod bawełnianą koszulę, która kusząco zwisała z pełnych piersi. Chciał dotykać ciepłego jedwabiu skóry, czuć smak ust Stacy i wdychać ich słodki zapach.

A ponieważ nie mógł tego zrobić, budził się co noc po paru godzinach snu, z bijącym szaleńczo sercem.

- Boyd? - Głos Stacy był cichy i odrobinę drżący.

- Tak? - Mocniej dokręcił plastikową pokrywkę termosu. Stacy wsunęła herbatniki do torby, mieszczącej już trzy kanapki i jabłko.

- Gdybyś zostawił książeczkę czekową, mogłabym wypisać чеки dla tartaku i hurtowni sprzętu elektrycznego. Wieczorem mógłbyś je podpisać.

- Firmowe чеки są w dolnej szufladzie biurka.

Stacy przygryzła wargę, patrząc na surową linię jego potężnych ramion.

- Czy jest jeszcze coś do załatwienia?

- Nie. - Nagle ze świstem wciągnął powietrze. - Tak, do licha - oświadczył. - Musimy ustalić pewne zasady, zanim sprawy wymkną nam się spod kontroli.

- O jakie sprawy chodzi? - Stacy zamrugła oczami. Spuścił głowę i przeczesał palcami włosy.

- Popeliłem w życiu głupie błędy, ale najgorszym z nich jest wiara, że wystarczy mi parę pocałunków.

- Chyba nie prosiłam, żebyś przestał mnie całować - odrzekła Stacy. - A nawet pamiętam, jak ci tłumaczyłam, że to mi się bardzo podobało. Miałam wrażenie, że tobie również.

- Aż za bardzo.

- A więc? - Nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Dlaczego ja, Stacy? Uważasz, że jesteś mi coś winna? Z trudem powstrzymała furję.

- Wiesz, że to nieprawda.

- Wiem? To zabawne, ale spotkaliśmy się dopiero dwa tygodnie temu. - Ten zgryźliwy ton miał ją pewnie zranić. I zranił.

- Muszę więc przyjąć, że masz w zwyczaju całować każdą spotkaną kobietę.

Rumieniec zabarwił mu policzki.

- Ostatnią kobietą, którą przed tobą całowałem, była moja żona.

Spojrzała w jego ciemnoszare oczy i zapragnęła go pocieszyć.

- Boyd, to nic złego być tylko człowiekiem - powiedziała cicho, zmniejszając dystans między nimi.

- Przestań - rzucił zduszonym głosem. - Nie mogę dać ci tego, czego pragniesz.

- Chcę, żebyś wybaczył sobie to, że żyjesz. - Wyprostowała się, a jej wargi znalazły się centymetr od jego ust. - Nie zasłużyłeś na ten czyściec, który sam sobie stworzyłeś.

Jego oczy zmieniły się tak nagle, że aż wstrzymała oddech.

- Gdyby wszystko wyglądało inaczej... - zaczął.

- To spraw, żeby tak było.

- Jak? Mam udawać, że mogę ci zagwarantować szczęśliwą przyszłość, na którą zasługujesz?

- Boyd, wiem, że kochałeś Karen. Ja też kochałam Lena. Ale ich już nie ma. To straszne i tragiczne, owszem. Ale nieodwracalne. Odmawiając tej pociechy, jaką możemy sobie ofiarować, nie sprowadzimy ich tu z powrotem.

- Stacy...

- Obejmij mnie, Boyd. Proszę.

Przysunęła się bliżej, aż poczuła drzenie jego ciała.

- To błąd - wymruczał. Objął ją mocno, a potem jęknął, skapitulował i dotknął wargami jej ust.

Wargi Boyda były miękkie, a pieśczota lekka jak muśnięcie. Mimo to Stacy wyczuwała napięcie, które budziło się i w jej ciele. Chciała być bliżej Boyda, więc zarzuciła mu ręce na szyję. Dotyk jego włosów na karku przywodził namysł surowy jedwab rozgrzany męskim ciepłem. Tulila się do niego, aż wreszcie przycisnął mocniej wargi, a ona rozchyliła usta.

Boyd czuł, jak Stacy ulega, poddaje się. Pożądanie było tak silne, że przez moment nie mógł oddychać. Tak jakby tonął w tej kobiecie, w jej zapachu, smaku, w miękkim dotyku jej piersi.

Otwartą dłonią pogładził jej plecy i poczuł dreszcz przebiegający po skórze. Zsunął dłoń niżej, na biodra i usłyszał, jak Stacy jęknęła. Kiedy przyłgnęła do niego mocniej, poczuł eksplozję żaru, a jego ciało zareagowało na to rozkoszą i bólem.

Odsunął się nieco i rozchylając miękkie klapy szlafroka położył dłoń na jej piersiach. Niezdolna zapanować nad ciałem, Stacy zadygotała. Sutki jej twardniały przy każdym dotyku jego palców. Gładził jej piersi w powolnym, niewiarygodnie erotycznym masażu. Potem zsunął rękę niżej, na jej brzuch, gładząc cudownie zaokrągloną linię ciała.

Poczucie winy ogarnęło go nagle i niespodziewanie jak cios rozgrzanego do czerwoności ostrza. To Karen powinien

całować, bo ona tak reagowała na każde dotknięcie jego dłoni. To brzuch Karen powinien gładzić. Cofnął się, oddychając chrapliwie.

Rozmarzona Stacy dopiero po chwili zauważyła, że mocne dłonie, dające jej tyle rozkoszy, teraz obejmowały jej ramiona i odpychały ją od siebie.

- Nie, nie chcę przeżywać tego jeszcze raz - oświadczył Boyd szorstko, z twarzą wykrzywioną cierpieniem, które jej także sprawiło ból. - Miłość za bardzo rani.

Chwycił termos i wybiegł.

Po południu Stacy dorobiła się gigantycznego bólu głowy. Oczy ją piekły z wysiłku przy próbach odcyfrowania pisma Boyda. Jak wielu leworęcznych, stawiał litery wyraźnie pochylone do tyłu. Ukośne spółgłoski i agresywne samogłoski, wszystkie wyglądały podobnie. Jego podpis był jeszcze mniej czytelny.

- Gdybym miała odrobinę rozsądku, zażądałabym podwyżki - mruknęła, odkładając ołówek.

Gdyby miała odrobinę rozsądku, spakowałaby swój skromny dobytek i wyszła z tego domu, nim gospodarz wbije następną szpilkę w jej serce.

Wyprostowała się, westchnęła i odsunęła od biurka. Pora zjeść jakiś owoc i wypić kolejną szklankę mleka. Szła już w stronę lodówki, kiedy ktoś zapukał do tylnych drzwi. Otworzyła zdziwiona i zobaczyła Prudy z pudełkiem ciastek w ręku.

- Jestem ze Związku Przyjaznych Sąsiadów - powiedziała śpiwnym głosem i uśmiechnęła się do Stacy. - Zrób mi filiżankę kawy, a może się z tobą podzielę.

Stacy pochyliła się, wdychając aromat ciasta.

- Powiedz, że to ciastka czekoladowe.

- Ze sklepu ze zdrową żywnością, ale wciąż naprawdę pyszne.

Stacy odsunęła się i wpuściła sąsiadkę Boyda do środka. Prudy miała na sobie różowe szorty i niezwykle jaskrawą hawajską koszulę.

- Ja zrobię kawę, a ty wyciągnij talerze - poleciła Stacy, zamykając drzwi.

Dziesięć minut później siedziały naprzeciwko siebie i przeżuwały z rozkoszą ciasteczka.

- Kiedy wczoraj wpadłam na Boyda, powiedział, że porządkujesz jego dokumenty - rzuciła Prudy i wypła łyk kawy.

Zgodnie z poleceniami Jarroda, kawa Stacy składała się głównie z mleka.

- Powiedzmy, że próbuję.

Prudy sięgnęła po ciastko i kiwnęła głową.

- Przyjmij więc wyrazy współczucia. - Uśmiechnęła się. - Przeżyłam parę trudnych chwil, próbując odczytać te jego bazgrały.

- W szpitalu?

- Aha. - Prudy ugryzła ciastko i starła z brody jego okruszki. - Wyda ci się to niewiarygodne, ale nie jest jeszcze najgorszy. Choć niewiele mu brakuje. Oczywiście, jeśli zostałyby w szpitalu, to mam przeczucie, że jego pismo szybko by się stało całkiem nieczytelne.

- Jak myślisz, brakuje mu pracy w szpitalu?

- Nie bardziej niż tobie czy mnie brakowałoby oddychania. Stacy ułamała kawałek ciastka i wsunęła do ust. Nagle wydało jej się bez smaku.

- Myślisz, że kiedyś do was wróci?

Prudy w zadumie potarła czoło, a potem rzuciła Stacy wyzywające spojrzenie.

- Sądzę, że to zależy od ciebie - powiedziała cicho. - Od ciebie i tego dziecka, które nosisz.

- Chyba nie bardzo...

- Rozumiesz. - Prudy westchnęła. - Tak, wiem. Mój były mąż zawsze powtarzał, że robię takie dziwne zwroty w rozmowie. Doprowadzałam go tym do szaleństwa. Podejrzewam, że to jeden z powodów, dla których wolał policję od naszego małżeństwa.

Stacy usłyszała nutę bólu w głosie Prudy i zrozumiała, że to nie ona chciała rozwodu.

- Twój mąż jest policjantem?

- Były mąż... w grudniu minie pięć lat od naszego rozwodu. Dlatego poczułam do ciebie sympatię, gdy usłyszałam twoją historię.

- Tak, żony policjantów trzymają się razem. - Stacy potarła kciukiem uszko filiżanki. - Nawiasem mówiąc, zastanawiałam się, czy nie wrócić do Wenatchee Falls, kiedy tylko doktor Jarrod pozwoli mi podróżować. Mam tam kilka przyjaciółek, które zajmą się mną, dopóki finansowo nie stanę na nogi.

- Nawet o tym nie myśl! - zawołała Prudy i skrzywiła się, - Przepraszam, źle to zabrzmiało. Chciałam powiedzieć, że byłoby mi przykro rozstawać się z tobą, zwłaszcza teraz... Co prowadzi nas znów do tematu Boyda MacAuleya i jego praktyki medycznej.

- Prowadzi? Prudy kiwnęła głową.

- Zwroty w rozmowie, pamiętasz?

- Ach, rozumiem, o co ci chodzi. - Stacy roześmiała się.

- A przynajmniej to, o co chodziło twojemu byłemu mężowi.

- To jest tak, Stacy. Od trzech lat Boyd wychodził z domu do pracy, która polegała na wbijaniu gwoździ, potem wracał, krzątał się na podwórku albo przy samochodzie. Wieczorem szedł spać. Wykończony i samotny. - Westchnęła. - Nawet nie zliczę, ile razy zapraszałam go na kolację albo do kina. Jako

kumpelka, rozumiesz, o czym on wie równie dobrze jak ja. Ale zawsze miał jakąś wymówkę.

- Może lubi być sam?

- Może. A może ja powinnam zmienić dezodorant. - Łobuzerski uśmiech pojawił się na twarzy Prudy i zaraz zniknął.

- A tak mówiąc poważnie, zachowywał się jak zombie od dnia, kiedy po raz ostatni wybiegł z sali operacyjnej i poszedł prosto do gabinetu ordynatora, żeby złożyć wymówienie.

- Co się stało podczas operacji? - Stacy czuła, jak ściska się jej żołądek.

Prudy uniosła palcem okruch z talerza.

- Pacjentką była ofiara wypadku, studentka z Kalifornii, której samochód wpadł w poślizg. Boyd był w połowie operacji, gdy nagle zbladł i zmarł. Instrumentariuszka mówiła, że w życiu nie widziała takiego bólu w niczyich oczach.

Stacy siedziała nieruchomo, czując w ustach grudę ciasta, którego nagle nie potrafiła przełknąć.

- Dlaczego...

- Najwyraźniej pacjentka była podobna do Karen. - Prudy przygryzła wargę. - Wszyscy mówili, że Boyd był bardzo dzielny, wracając do pracy w parę tygodni po wypadku. Opanowany i silny.

- Zamiast poradzić sobie z własnymi uczuciami, próbował je wytłumić? - domyśliła się Stacy.

- Właśnie. - Prudy wypila kawy, skrzywiła się i wstała, by dolać sobie gorącej. - Oprócz gniewu - dodała, wracając na miejsce. - Głównie na siebie. Za to, że nie zdołał ocalić Karen i dziecka.

Stacy wpatrywała się w słoneczne plamy na lśniącej powierzchni stołu i z wysiłkiem powstrzymywała łzy.

- Opowiedział mi o wypadku.

W oczach Prudy błysnęło zdziwienie.

- Miałam dyżur, kiedy przywieźli jego i Karen. Chyba wszyscy wiedzieliśmy, że biedaczka tego nie przeżyje.

- To musiało być straszne - szepnęła Stacy.

- Boyd nie płakał - mówiła dalej Prudy. - Ani w szpitalu, ani na pogrzebie, ani wtedy, gdy zdemolował pokój dziecienny.

- Spojrzała badawczo, a Stacy kiwnęła głową.

- Myślałam, że to jego pracownia - powiedziała.

- Więc tam wciąż jest taki bałagan?

- Jak na pobojuwisku.

- Odpowiednie określenie. Zwłaszcza że Boyd niemal przegrał tę bitwę o swoje zdrowe zmysły.

- O Boże - szepnęła.

- Wracałam do domu z pracy, gdy usłyszałam brzęk tłuczonego szkła. Martwiłam się o Boyda, więc otworzyłam drzwi jego domu kluczem, który dawno temu dała mi Karen. Znalazłam Boyda w pokoju dzieciennym. - Zbladła na wspomnienie tamtej chwili. - Wyglądał jak szaleniec, nie golił się od paru dni, wychudł, dłonie miał pokaleczone od drzazg i odprysków, a oczy... Boże... Próbowałam go powstrzymać, ale mnie nie słyszał. - Westchnęła i sięgnęła po filiżankę. - Kiedy nie zostało już nic do połamania, wyminął mnie, jakby w ogóle mnie tam nie było, i zniknął na parę tygodni.

Po prostu rozplątał się. Kiedy wrócił, był chudy jak szczapa, a oczy miał pozbawione wyrazu. Jeszcze teraz takie miewa.

- Powiedział, gdzie był?

- Nie, a ja nie pytałam. Cieszyłam się, że wrócił. - Spojrzała na Stacy. - Zależy ci na nim, prawda?

Czy jeśli kochasz kogoś całym sercem, to można powiedzieć, że ci na nim zależy?

- Tak, bardzo.

- Więc zostań. Pozwól, by się tobą zaopiekował, żeby cię rozpieszczał, jeśli tego zechce. Niech będzie z tobą w czasie twego porodu.

A potem? Odejść, jakby się nigdy nie spotkali?

- Myślisz, że to będzie dla niego katharsis? Prudy rozpromieniła się.

- Właśnie.

Stacy pomyślała o błysku pożądania w oczach Boyda - nawet w chwili gdy ją odpychał.

- Gdybym wiedziała, że mój pobyt tutaj cokolwiek zmieni...

- Na pewno! Możesz mi wierzyć, jesteś dokładnie tym, czego Boyd teraz potrzebuje. - Prudy wypła resztę kawy i poderwała się z krzesła. - No, na mnie już czas.

Stacy wstała niepewnie i uśmiechnęła się z sympatią.

- Ile ci jeszcze zostało? Sześć tygodni? - spytała Prudy.

- Pięć. - Stacy otworzyła jej drzwi i powiedziała: - Jesteś dobrą przyjaciółką Boyda.

- Ty też. - Prudy odwróciła się i prawie potknęła o żółtego kociaka, który zjawiał się jakby znikąd. - Przepraszam, skarbie.

- Śliczny jesteś - mruknęła Stacy.

Schyliła się niezręcznie i wyciągnęła dłoń do żółtego zwierzątko. Małe stworzonko otarło się o jej palce, a potem wróciło, by szorstkim różowym języczkiem polizać wyciągniętą dłoń.

- Pod zlewem znajdziesz pokarm dla kotów i dwie miski - poinformowała Prudy, pochylając się nad kudłatym gościem.

Stacy spojrzała na nią zdziwiona, mrużąc oczy od słońca.

- Nie wiedziałam, że Boyd ma kota.

- Bo nie ma. On po prostu przyciąga do siebie te bezdomne zwierzaki. Czasem mam wrażenie, że przy drodze stoi znak, który tylko koty potrafią odczytać: „Tędy do człowieka o niewiarygodnie miękkim sercu”.

Stacy podrapała kotka za uszami i została wynagrodzona głośnym mruczeniem.

- Zgubiłeś się, malutki? Czy wyruszyłeś na wycieczkę?

- Nie przywiązuj się do niego - ostrzegła ją Prudy. - Boyd nigdy nie trzyma tych włóczęgów dłużej niż parę dni.

Stacy poczuła dreszcz.

- Nie mów, że oddaje kociaki do schroniska!

- Coś ty! Zawsze znajduje im jakiś porządny dom. - Prudy wyprostowała się, a jej włosy błysnęły jak płomień w promieniach słońca. - Do widzenia. - Odwróciła się i ruszyła w stronę domu.

Stacy z uśmiechem uniosła kotka i potarła policzkiem o miękkie futro. Kociak pacnął ją łapą, a potem mruknął zadowolony.

- No więc, jak cię nazwiemy?

- Stacy! - zawołała Prudy już z progu domu. - Nie nadawaj temu kotu imienia.

- Za późno! - odkrzyknęła. - Waśnie powiedział mi, jak ma na imię. Promyk.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Stacy leżała na pożyczonym od Prudy leżaku, w cieniu rosnącego na podwórzu dębu, kiedy usłyszała, jak furgonetka Boyda zatrzymuje się na parkingu.

- Wszystko w porządku, Promyczku - mruknęła do kotka, drzemiącego na jej kolanach. - Krzyczy, ale naprawdę ma miękkie serce w tej swojej masywnej piersi.

Promyk zastrzygł uszami i otworzył jedno oko, jakby miał wątpliwości. Stacy zaśmiała się i pogładziła go po grzbiecie.

- Tu jesteśmy! - zawołała, kiedy Boyd przeszedł do tylnych drzwi.

Wyglądał na zamyślonego i zmęczonego. Ten człowiek zrobiłby majątek jako model, pomyślała. Mógłby prezentować cokolwiek.

- My? - zapytał, skręcając na trawnik.

- Boyd, poznaj Promyka... - powiedziała, unosząc łapkę kota.

- O Boże, jeszcze jeden - burknął.

Zły nastrój poranka chyba minął, więc Stacy odetchnęła z ulgą.

- Prudy powiedziała, że przyciągasz do siebie te dachowce.

Zawahał się, potem przykucnął obok leżaka i wyciągnął dłoń do kociaka.

- Mały żebrak - wymruczał.

- Dałam mu trochę kocich chrupek, które znalazłam pod zlewem - poinformowała go z uśmiechem.

Miała na sobie szorty w dziwaczny geometryczny wzór, które widział chyba raz czy dwa na Prudy, i koszulę, którą jej przygotował. Jedno i drugie nie było prowokujące, ale czuł, jak wzrasta mu ciśnienie. Cofnął nagle dłoń, uświadamiając sobie, że kociak usadowił się na jedwabistych udach Stacy.

- Jak się czujesz?

Uznał, że bezpieczniej będzie, gdy skupi się na jej twarzy. To był błąd. Aż nadto wyraźnie dostrzegł linię warg, których dotykał jeszcze parę godzin temu. Nie mógł też zapomnieć, jak niezręcznie odrzucił to, co mu oferowała.

- Szczerze mówiąc, czuję się tak rozpieszczona i leniwa jak Promyk - oświadczyła z westchnieniem. - Prudy przyniosła ciasto, a Linda podrzuciła zapiekankę, która pachnie niebiańsko. Najwyraźniej obie założyły towarzystwo dobroczynne.

Boyd zerknął w stronę domku Laddów. Równy rząd pieluch zwisał ze sznura, który Marshall umocował na żądanie Lindy, kiedy zaraz po świętach urodziła bliźniaki. Linda walczyła o ochronę środowiska i niczego nie wyrzucała.

- Polubiłam twoich sąsiadów - oznajmiła Stacy. - Troszczą się o ciebie. Prudy już mnie właściwie ostrzegła, żebym się w tobie nie zakochała, a Linda mówiła to samo, tylko innymi słowami.

- Wygląda na to, że troszczą się raczej o ciebie.

- Ale przecież nie muszą, prawda? - powiedziała z uśmiechem. - Nie interesuje cię związek ze mną, a ja jestem zbyt dobrze wychowana, by się narzucać mężczyźnie, który mnie nie chce.

- Do diabła, Stacy, to nie tak...

- Wszystko w porządku, Boyd. - Położyła mu dłoń na ramieniu, a pod tym dotykiem jego mięśnie zmieniły się w stal. - Rozumiem, co czujesz i dlaczego. Nie chcesz się we mnie zakochać i nie pragniesz, żebym i ja się w tobie zakochała. To uczciwe. Zrobię, co mogę, chociaż nie będzie to łatwe, gdyż już teraz bardzo cię lubię, nie wspominając o tym, że twoje wspaniałe ciało budzi we mnie pożądanie. - Westchnęła i uniosła oczy do nieba, po czym dokończyła surowo: - Niezależnie od tego, ponieważ nalegasz, żebym

pozostała w twoim domu, sugeruję, żebyśmy zachowali przyjacielskie stosunki.

Boyd poczuł, jak miotają nim sprzeczne emocje.

- W porządku - odparł i wstał.

Chciał właśnie zaproponować, że przyniesie jej coś do picia, gdy wyciągnęła do niego dłoń.

- Dogadaliśmy się - oświadczyła z uśmiechem.

- Tak, oczywiście. - Ujął rękę Stacy i poczuł, jak jej palce ściskają jego dłoń.

- A teraz pomóż mi wstać - dodała spokojnie. - Włożę tę zapiekankę z krabów do piekarnika.

Niech to diabli, pomyślał Boyd. Wsadził głowę pod prysznic i pozwolił, by strugi wody rozpryskiwały się na mięśniach karku. To tyle, jeśli chodzi o dyplomatyczną przemowę, którą przygotowywał całe przedpołudnie. O tym, jak to nie chce już bardziej jej ranić. I że powinni utrzymywać swoje stosunki raczej na przyjacielskich zasadach. Stacy powiedziała to pierwsza, drwił z niego wewnętrzny głos. Wyczuła twoje dobre intencje.

Więc dlaczego czuję się tak, jakbym właśnie oberwał w szczękę?

Bo jestem idiotą, pomyślał, usuwając twarz spod strumienia wody. Idiotą, który przed chwilą skazał się na pięć tygodni piekła.

Przez następne kilka tygodni nauczyli się żyć obok siebie. Stacy gotowała to, co Boyd lubił, i rozmawiała z nim o dawnej pracy lekarza. Boyd nauczył się zachowywać wobec niej dystans, zwłaszcza rankami, gdy wypijała jedyną kawę, na jaką pozwolił Jarrod.

Boyd kupił telefon komórkowy i wypisał jego numer przy każdym aparacie, obok numeru Jarroda do domu i do pracy.

Swobodnie rozmawiali o bieżących sprawach, starając się usilnie nie przekraczać ustalonych granic.

Na mocy niepisanej umowy Stacy czekała, aż Boyd wyjdzie z domu, by wziąć prysznic. On kąpał się nocą, gdy oglądała telewizję lub odwiedzała Prudy.

Stacy gotowała, a on zmywał. Nieważne, jak była ostrożna, i tak zderzali się ze sobą w kuchni. Albo ich dłonie stykały się, gdy podawała mu talerz do mycia.

Stopniowo wszystko układało się coraz lepiej. Wydawało się, że Boyd lubi rozmawiać z nią o różnych sprawach, na przykład o kłopotach, jakie miał z piernikowym szlaczkiem u Gilmartinów, i o satysfakcji, kiedy w końcu zdołał rozwiązać swój problem.

Szybko zrozumiała, że w pracy Boyd jest perfekcjonistą. Gdy mu się coś nie udawało, rozczarowanie i pogarda dla siebie były niemal namacalne. Jeśli tylko mogła, podpowiadała mu, co powinien zrobić, i była zachwycona, gdy chwalił jej pomysłowość.

Dwa razy zabrał ją na kolację do Staroświeckiej Restauracji D'Agostino, gdzie kraciaste obrusy były zawsze czyste, a atmosfera sympatyczna. W podzięce za pomoc w rozwiązaniu trudnego problemu, wyjaśnił. Podejrzewała, że martwi się o nią, o to, że zbyt ciężko pracuje przy porządkowaniu jego dokumentów.

Kiedy zjawili się po raz trzeci, właściciel, Mario D'Agostino powitał ich mrugnięciem i zwykłym uśmiechem. Krępy Włoch ze smukłą żoną, Sofią, i czwórką dzieci mieszkali nad restauracją.

- Powiedziałem Sofii, że jest środa, więc pewnie zobaczymy mojego przyjaciela Boyda i jego piękną damę - powiedział Mario, kiedy usadził ich przy stole obok okna.

Co prawda Boyd przedstawił Stacy jako przyjaciółkę, która pomaga mu w prowadzeniu księgowości, lecz było jasne, że Mario uważa Boyda za zakochanego po uszy. Stacy wiedziała, że to nieprawda. Była dla niego kolejnym

zagubionym kociakiem, którym trzeba się zaopiekować, nim bezpiecznie wyruszy w dalszą drogę.

- Co mógłby nam pan polecić? - spytała, wciskając się możliwie głęboko w kanapę, by zrobić miejsce dla brzucha.

Białe zęby Maria błysnęły na tle oliwkowej twarzy. Szerokim gestem podał jej kartę.

- Łosoś w sosie z małży zachwyciłby anioła.

- To dostateczna rekomendacja. - Stacy nawet nie zerknęła w kartę. - I jeszcze podwójną sałatkę z...

- Dodatkową papryką - dokończył Mario, a oczy błysnęły mu na moment. - I przygotuję słoik z papryką na wynos, żebyś nie musiał budzić mnie o północy - zwrócił się do Boyda.

Stacy dostrzegła, że Boyd rumieni się lekko.

- To prawda? - zapytała, spoglądając na niego ponad lśniącem czystością obrusem.

- Żebyś nie musiała w środku nocy otwierać i zamykać szafek - mruknął Boyd i wypił łyk wody.

Stacy odetchnęła, na wpół zirytowana, na wpół oczarowana myślą o Boydzie, który wybiega w nocy, żeby uzupełnić słoik papryki, który stał w szafce obok kawy.

- Mówiłam, że mogę spać na sofie - przypomniała mu odrobinę zgryźliwie.

- Nie zaczynaj znowu - mruknął i zamknął kartę z trzaskiem, który przypomniał jej, że Mario wciąż czeka.

- Wezmę specjalność firmy.

- Dobry wybór, przyjacielu - rozpromienił się Mario. - I jak zwykle kieliszek chianti?

Boyd skinął głową. Zmarszczył brwi i zmienił pozycję. Miał na sobie koszulę, którą Stacy wyprasowała mu pomimo protestów, i spodnie zamiast dżinsów. Jak zwykle palcami przeczesał włosy, lecz choć były czyste i lśniące, przydałaby się im wizyta u fryzjera. Wyglądały na wiecznie rozwichrzone.

- A dla mojej ślicznej nowej przyjaciółki jak zwykle mleko? - Mario spojrzał na Stacy z zachęcającym uśmiechem.

Kiwnęła głową.

Po chwili rozmowy Mario zabrał obie karty i ruszył do kuchni. Stacy wzięła serwetkę i skrzywiła się, z trudem wciskając ją między blat stołu a swój brzuch.

- Wygląda na to, że następnym razem będziesz musiała siedzieć w fotelu - mruknął Boyd, rozwijając własną serwetkę.

- Jeśli nie będzie miał poręczy - odparła ze śmiechem Stacy.

Pojawiły się drinki i sałatki przyniesione przez starszą kelnerkę, której Stacy dotąd nie widziała.

- Komu podać tę z dodatkową papryką? - spytała z włoskim akcentem.

- To dla mnie - odparła Stacy z uśmiechem. Gdy Boyd sącył wino, ona zaczęła jeść.

- Brzuch ci się rusza - zauważył po chwili. - Tory chyba lubi paprykę.

Spojrzała w dół. Rzeczywiście, kopnięcia małej były wyraźnie widoczne pod cienką bluzką.

- Doktor Jarrod uważa, że ruchliwe dziecko oznacza lekki poród. Powiedziałam, że chcę to mieć na piśmie.

- A poza tym, że jest ruchliwe... wszystko w porządku?

Wzruszył ją ton troski w głosie Boyda. Co środę odwiedzała lekarza i każdego środowego ranka Boyd odwoził ją do gabinetu Jarroda. Lecz zamiast z nią wejść, czekał w furgonetce. W drodze do domu zadawał szczegółowe pytania o jej stan zdrowia. Teraz po raz pierwszy spytał o dziecko.

- Mała czuje się świetnie - zapewniła. - Puls ma mocny. Stacy też rozkwitła, więc doktor Jarrod pozwolił jej wrócić do normalnych zajęć z typowymi dla ciąży ograniczeniami.

Boyd uśmiechnął się do niej przelotnie. Ale na jego twarzy wciąż widziała cierpienie. Nie mogła znieść tego

niepewnego spojrzenia. Było w nim zbyt wiele lęku, bólu, zbyt wiele wspomnień.

Autorzy książek, które czytała, podkreślali, że cierpienie trzeba wyrzucić z siebie. Krzyczeć, wściekać się, jeśli jest to potrzebne. Tłuc poduszkę lub płakać, póki nie braknie łez. Według Prudy, Boyd w ogóle nie płakał. Ale przecież zdemolował dziecinny pokój, więc może zrobił już jeden krok we właściwym kierunku.

Problem w tym, że Stacy nie wiedziała, jak mu pomóc, by zrobił następny i w jakim kierunku powinien ruszyć. Dlatego starała się, żeby choć trochę uzewnętrznił swe emocje. Raz czy dwa nawet udało jej się go rozśmieszyć.

Ale kiedy już myślała, że Boyd zaakceptował przeszłość, odsunął się od niej tak dokładnie, jakby wyszedł, zatrzaskując za sobą drzwi. Cierpiała, gdy tak ją odpychał.

Jeszcze gorsze były chwile, gdy patrzył na nią z tak nie skrywanym pożądaniem w oczach, że brakowało jej tchu. Pragnienie, by znaleźć się znów w jego ramionach, zawsze tkwiło tuż pod powierzchnią jej świadomości. Nawet teraz, gdy patrzyła, jak unosi kieliszek i pije, chciała poczuć te wargi na swoich ustach.

Pokusa była niemal nie do odparcia. Uniosła szklankę.

- Wypijmy za szczęśliwe zakończenie remontu u Gilmartinów. Dziś rano wysłałam im ostatni rachunek.

- I za moją księgową, która dobrze pilnuje interesów szefa - dodał, stukając kieliszkiem w jej szklankę z mlekiem.

Wypili razem, patrząc sobie w oczy. Przez chwilę Stacy była pewna, że w ich głębi dostrzegła coś więcej niż zadowolenie pracodawcy. Poczowała ucisk w piersi, który poruszył jej serce, coś, co nie miało nic wspólnego z dzieckiem.

- Jakie będzie następne zlecenie? - spytała.

- Myślałem o tym, żeby wziąć parę tygodni urlopu - powiedział, zerkając na kelnerkę, która przyniosła potrawy.

- Wakacje?

- Czemu nie? Już połowa czerwca. Najwyższy czas. Skosztowała łososa i poczuła, jak jej kubeczki smakowe aż drżą z zachwytu.

- Chciałbyś gdzieś wyjechać?

- Chyba nie - rzucił obojętnie.

- Boyd, jesteś kochany, martwiąc się o mnie, ale do mojego porodu pozostało jeszcze ponad dwa tygodnie. Według doktora Jarroda może nawet więcej.

- Naprawdę? - Skoncentrował się na makaronie i pochłonął połowę porcji, zanim znów uniósł głowę. - Chyba jestem tak delikatny jak ciężarówka.

- Mniej więcej. Ale jestem ci wdzięczna. - Miała właśnie powiedzieć mu, że nie potrzebuje niańki, ale przypomniała sobie, co mówiła Prudy: „Pozwól, by się tobą zaopiekował i rozpieszczał cię, jeśli tego zechce. Niech będzie z tobą podczas twego porodu”.

Wypiła łyk mleka, a potem obejrzała się i skinęła na Mario.

- Jeszcze trochę papryki? - zapytał i ruchem głowy wskazał resztki sałatki na talerzu.

- Może jeszcze kilka kawałków - zgodziła się, przez moment rozkoszując się myślą o ostrym smaku na języku.

Mario i Boyd wymienili spojrzenia - dwaj prawdziwi mężczyźni, ustępujący przed kaprysem kobiety. Stacy uśmiechnęła się do Maria i dodała:

- Czy mógłby pan przygotować nam na jutro kosz piknikowy? Mój szef wziął sobie urlop i chciałabym zaprosić go do lasu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Boyd nie pamiętał już, kiedy ostatnio wyjechał na łono natury w środku roboczego tygodnia. Zresztą w ogóle nie pamiętał, kiedy ostatnio był na pikniku.

Lecz gdy wsunął dłonie pod głowę i beztrósco obserwował liście tańczące na wietrze, musiał przyznać, że to jest bardzo przyjemny sposób odpoczynku. Jako dziecko nigdy nie miał czasu na takie sielskie popołudnia. Zawsze były jakieś obowiązki, rodzeństwo do pilnowania. W college'u i na studiach miał jeszcze więcej zajęć. Po ślubie robił to, co lubiła Karen. Chodził na koncerty symfoniczne, do opery i na bale dobroczynne. Jego zdaniem były to tylko preteksty, by rodzina Waverly i ich znajomi mogli się wystroić.

Wciąż widział Karen przed lustrem w łazience, jak zastanawiała się, które nałożyć kolczyki. Diamentowe romby czy perłowe krople? - spytała go kiedyś niemal płacząc, gdyż nie mogła się zdecydować.

Pamiętał, że był wtedy półżywy po długim dyżurze i dwóch ciężkich operacjach. Miał ochotę chwycić te przekłete kolczyki i wrzucić je do muszli, gdyby tylko mogli potem, dla odmiany, zostać w domu. Zamiast tego wymamrotał coś, co chyba sprawiło jej przyjemność.

Przymknął oczy, wciągnął do płuc powietrze pachnące lasem i spróbował wyobrazić sobie Karen siedzącą na postrzępionym kocu bez butów, z włosami rozwiewanymi wiatrem. Spróbował, lecz bez skutku.

Od urodzenia była cieplarnianą orchideą. Nie znosiła robactwa, brudu i potu tak samo, jak nie mogła znieść rozstępów, które cięża zaczęła tworzyć na jej zadbanej skórze. Czasem miał wrażenie, że nie znosiła i jego za to, że dał jej dziecko. Czasami sam siebie nie znosił. Nie, nie czasami. Zazwyczaj. Przynajmniej do czasu, gdy ten wielkooki chochlik wprowadził się do jego domu.

Uśmiechnął się, odwrócił głowę i spróbował wyobrazić sobie Stacy w spiczastej czapeczce na głowie. Zamiast tego zobaczył kobietę tak piękną, że aż wstrzymał oddech. Była jak dzika róża, z rodzaju tych, co dawno temu zapuściły korzenie w żyznej glebie. Kobieta z klasą, dla której pieniądze nie miały znaczenia; zaprawiona w walce z masą kłopotów, chroniąca przede wszystkim dziecko. Kobieta, która potrafiła śmiać się przez łzy.

Nigdy nie był sentymentalny. Nie wypowiadał romantycznych słów, których kobiety lubiły słuchać. Słów, które chciał, by teraz łatwiej przychodziły mu do głowy. Lecz przez całe życie nie zdołałby opisać tego, co czuł, gdy na nią patrzył. Była taka piękna, miała cudowny uśmiech i śliczny kolor włosów.

Ciemny brąz nie był właściwym określeniem wobec tak wielu odcieni miedzi i złota. Od ich pierwszego spotkania jej włosy urosły, a kiedy je rozpuszczała, sięgały poza ramiona miękkim, lśniącem wachlarzem, który prosił o dotyk mężczyzny.

Ze względu na upał związała je w koński ogon, który kołysał się zabawnie przy każdym ruchu głowy. Niesforne kosmyki, rysowały na jej twarzy niewyraźne cienie.

Ostatnie tygodnie spędzone na słońcu zlikwidowały szpitalną bladość skóry, poprawiając wygląd i tak pięknej cery. Ale to jej uśmiech przyspieszał rytm serca i rozgrzewał mu krew.

Znowu miała na sobie szorty Prudy i cienką bawełnianą koszulę w kolorze arbuza. Gołe, lekko opalone nogi, mimo ciąży były cudownie smukłe i zgrabne.

Bóg świadkiem, że jej pragnął, każdego dnia bardziej. Tak bardzo, że nie potrafił się skupić na najprostszycy sprawach.

- Teraz wiem, dlaczego Prudy uznała to miejsce za jedno ze swych najbardziej ulubionych w świecie - stwierdziła

Stacy. - Trudno uwierzyć, że milion ludzi żyje o parę kilometrów stąd. - Z zadowoleniem odwróciła twarz ku gęstemu sklepieniu liści.

Na zachodzie, w widocznym trójkącie lazurowego nieba, szybował majestatycznie orzeł. W pobliskich krzakach jakiś ptak śpiewem wyrażał swój podziw dla pięknego dnia.

Boyd wziął kolejny płaski kamień ze stosika obok, po czym rzucił, odbijając go od powierzchni wody.

Stacy patrzyła, jak kamień trafia w brzeg na drugiej stronie i znika z pola widzenia. W tej części Orlego Strumienia woda była ciemnozielona i czysta. Niosła z gór topniejący śnieg. W pobliżu trawiastego brzegu, gdzie rozłożyli koc, niedawne wiosenne przybory wyryły głębokie zakole. Wiry, kręcące się tam w hipnotycznej furii, pokrywały powierzchnię białą pianą. Za nimi, między dwoma potężnymi głazami, wyrastała zarośla, tworząc koronkowy, szmaragdowy parawan, który krył ich przed cywilizowanym światem.

Odkąd zjechali z głównej drogi na zwirową ścieżkę, dokładnie opisaną przez Prudy, spotkali niewielkie stadko tłustych krów, kilka ogromnych wron, całe akry dojrzewających jagód i ani jednego człowieka. Lunch przygotowany przez Maria wystarczyłby dla całego rzymskiego legionu. Jednak zdołali go pochłonąć w całości, jeśli nie liczyć smętnych resztek z uczty.

- Nie chcesz ostatniej kanapki? - usłyszał cichy głos Stacy wśród szumu strumienia.

- Nie, nic z tego. - Boyd usiadł. - I tak już chyba pękne. Stacy wygładziła koszulę na brzuchu i zerknęła na niego z zaciekawieniem.

- Dlaczego wydaje mi się, panie MacAuley, że w pańskiej mowie słyszę echa południowego akcentu?

Jego śmiech był cudownie zaraźliwy, lecz zbyt rzadki.

- Matka przyjechała z Południowej Karoliny. Jej ojciec był flisakiem, szukał wygodnego życia i sądził, że na północnym zachodzie nigdy nie zabraknie drzew. Miał jednak dość rozumu, by dostrzec, że czasy się zmieniają; zaczął więc doskonalić swoje stolarskie umiejętności.

Boyd pochylił się i z resztek posiłku wyłowił marynowaną oliwkę. Słońce rzucało blask na jego rozwichrzone włosy.

- To od dziadka nauczyłeś się stolarki? - spytała. Kiwnął głową.

- Ledwie umiał się podpisać, ale jak nikt inny potrafił odnaleźć duszę w każdym kawałku drewna.

- Twój ojciec też był stolarzem?

Boyd pokręcił głową.

- Nie. Przez trzydzieści lat pracował w młynie... dopóki nie zgniła mu wątroba.

- Pił?

- Tak, pod koniec życia bardzo dużo. Po śmierci matki pragnął jak najszybciej do niej dołączyć. Był potężnym mężczyzną, więc trochę to trwało. Ale w końcu dopiął swego i którejś nocy dostał krwotoku wewnętrznego, siedząc przy grobie mamy.

Wziął jeszcze jeden kamień i gwałtownym ruchem dłoni cisnął go po powierzchni wody w stronę drugiego brzegu.

- Czy matka umarła nagle?

- Tak, ale powinniśmy się tego spodziewać - - Boyd zacisnął wargi. - Miałem dwanaście lat, kiedy poroniła bliźniaki - wyjaśnił bezbarwnym głosem. - Ona i jedno dziecko umarły po paru godzinach. Cullen przez długie tygodnie był na granicy śmierci, ale przetrwał. Teraz jest wyższy ode mnie.

- A twoje siostry?

- Są szczęśliwe w małżeństwie. Tak przynajmniej twierdzą. - Nagle wstał i wyciągnął do niej rękę. - Chodź, rozprostujemy kości.

Stacy podała mu dłoń, a on bez wysiłku postawił ją na nogi. Po raz pierwszy od wielu tygodni poczuła się zwinna i zgrabna.

- Dzięki - powiedziała. - Ostatnio tracę równowagę, jeśli nie jestem ostrożna.

Razem brnęli po płytkiej wodzie wzdłuż brzegu. Boyd zaskoczył ją, gdyż zamiast puścić jej dłoń, splótł swoje palce z jej palcami. Dreszcz przebiegł po ciele Stacy.

- Uważaj na kamienie - ostrzegł, gdy weszli w głąb strumienia. - Są śliskie.

- Lubię ich dotyk. Są jak gładki, mokry atlas. Patrzyła, jak ważka sunie nad wodą, póki nie skręciła nad

pole koniczyny. Nagle poślizgnęła się na omszałym kamieniu i przechyliła się w stronę Boyda. Upadłaby, gdyby nie objął jej mocno.

- Ojej - mruknęła. - Zagapiłam się.

- Już dobrze?

- Chyba tak - potwierdziła, lecz jej głos zabrzmiał cienko. Rozstawił szeroko nogi, a potem objął ją ramionami.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa. - Szorstki głos przyspieszył bicie jej serca.

- Nie chciałam - szepnęła.

Pochylił się lekko i musnął wargami jej usta.

- Więc przestań używać takich seksownych perfum - szepnął.

Poczuła dreszcz podniecenia. Przymknęła oczy.

- To tylko mydło. Używasz tego samego.

- Niemożliwe - odparł, lekko kłując jej ramię. Przesunął dłońmi po plecach Stacy, a ją zalała fala rozkoszy.

Zmysłowo zbadał językiem jej ucho. Nabrała tchu i wygięła szyję do tyłu. Potem skupił uwagę na ustach, lecz zamiast ją pocałować, dotknął językiem dolnej wargi i odsunął się.

- Mimo jedzenia papryki twoje wargi mają słodki smak. Pocałuj mnie, Stacy.

- A co z naszą umową? - spytała bez tchu.

- Zapomnij o umowie. Uwolnij nieszczęsnego durnia od cierpienia. - Mówił to z kpina, lecz w jego oczach lśnił płomień pożądania.

- Jeśli ty zrobisz dla mnie to samo.

Serce biło jej jak szalone; oddychała z trudem. Boyd pachniał słońcem i wyglądał jak spełniony sen. Pocałował ją delikatnie. Stacy czuła, jak ziemia pod nią się kołysze. Objęła go mocno i pocałowała.

- Zdecydowanie słodko - szepnął, pieszcząc palcami jej policzek.

Splotła dłonie na jego karku, a on musnął nosem jej szyję i zaczął całować czułe miejsce poniżej ucha. Rozkoszowała się tą chwilą; ogarnął ją żar. I uczucie miłości.

Przytuliła się do niego ze wszystkich sił i jęknęła bezradnie. Boyd zeszywniał i odsunął głowę.

- My... Obiecałem, że tego nie zrobię - szepnął chrapliwym głosem. Krew dudniła mu w głowie, oddychał nierówno. Każda myśl sprawiała ból - Każde uczucie. - Jesteś w dziewiątym miesiącu... Dziecko...

- Wszystko w porządku... - wyszeptała drżącym głosem.

- Mógłbym cię skrzywdzić.

Wyczuła napięcie w obejmujących ją czule ramionach.

- Nie, na pewno nie.

Jęknął chrapliwie i ułożył głowę na jej ramieniu. Drżał cały, a mięśnie napinały mu się konwulsyjnie.

- Pragnę cię, Stacy... bardzo. Za bardzo. - Zdawało się, że wyrzywa z siebie te słowa.

- Ja też cię pragnę.

W tej chwili należała do niego. Nieważne, co się stanie w przyszłości.

Boyd w milczeniu wziął ją za rękę i poprowadził na dywan koniczyny. Promienie słońca przebijały przez sklepienie z liści, malując złociste koronki na bujnej zieleni.

- Spróbujemy tylko pieścizot - obiecał, wsuwając palce pod poły jej koszuli.

Skórę miała ciepłą i gładką. Nagle zawstydzona, przycisnęła dłoń do jego ręki.

- Nie oczekuj widoku z rozkładówki - ostrzegła go z uśmiechem.

Oczy mu pociemniały.

- Stacy, jesteś cudowną kobietą - oświadczył. - Oszałamiająco, zadziwiająco piękną. I pragnę cię tak bardzo, że aż cały się trzęsę.

- Myślałam, że ci zimno - zakpiła, uśmiechając się zmysłowo.

- Na pewno nie.

Rozpiął jej koszulę i stanik; piersi Stacy wypełniły mu dłonie. Poczula chłód na skórze, ale wargi Boyda były ciepłe. Jęknęła cicho, gdy ściągał z niej koszulę. Cofnął się, obejmując wzrokiem pełne piersi, i poczuł, jak coś ściska go za gardło. Chciał jej powiedzieć, jak jest teraz piękna, lecz zamiast tego pochylił się, położył dłoń na jej brzuchu i ucałował gładkie ciało.

Poczuł, jak zadrżała, uniósł wzrok i zobaczył łzy w jej oczach.

- Och, Boyd - szepnęła.

Nie odwracając głowy, zsunął z siebie spodenki i kąpielówki, a potem zdjął z niej szorty i proste bawełniane

figi. Kiedy oboje byli nadzy, wziął ją w ramiona. Przytuliła się do niego z rozkosznym westchnieniem.

Miała wrażenie, że wreszcie wróciła do domu.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Obudził ją skurcz w nodze. Sięgnęła w dół, by rozmasować mięśnie, gdy na tle okna zobaczyła ciemną sylwetkę Boyda. .

- Co się stało? - zapytał.

- Kurcz w łydce - mruknęła, próbując się schylić.

- Ja to zrobię.

Odsunął kołdrę. Ciepłymi dłońmi masował ją łagodnie i umiejętnie. Poczula, jak rozluźniają się mięśnie, i odetchnęła z ulgą.

- Lepiej?

- Mhm - wymruczała i przymknęła oczy.

- W świetle księżycy twoja skóra ma mleczny kolor - powiedział.

- Twoja jest ciemna - odparła. - Jak zamsz - dodała, przesuwając dłonią po jego umięśnionym ramieniu.

Pochylił się i delikatnie musnął wargami jej udo. Zadrzała z rozkoszy, a serce zabiło przyspieszonym rytmem.

- Pachniesz jak dojrzałe brzoskwinie - zamruczał, ogrzewając oddechem jej skórę.

Przesunął się i leżąc teraz za nią, pocałował ją w ramię. Czula na plecach ciepło jego ciała.

- Uwielbiam dotykać twojej aksamitnej skóry - szepnął. Pieścił ją wolno, gładząc palcami w górę i w dół obrzmiaty brzuch. Za każdym razem, kiedy przesuwał dłoń wyżej, sięgał do wypukłości biustu, aż wreszcie wykreślił zmysłową ósemkę wokół jej piersi. Poczula mrowienie w sutkach i jęknęła. Dłoń Boyda przeniosła się z jednej piersi na drugą, pieszcząc i gładząc delikatną skórę.

Pożądanie ogarnęło Boyda, odbierając mu oddech. Stacy była tak miękka, tak kobieca i oddana, potrzebująca opieki i ciepła. Wiedział, że on też jej potrzebuje.

- Jesteś cudownie słodka - mruknął, wtulając twarz w jej jedwabiste włosy.

Obudziła się z uśmiechem na twarzy. Czowała się tak spokojna i szczęśliwa. Ziewnęła szeroko, odwróciła głowę i spojrzała z miłością na leżącego obok mężczyznę.

Było wcześnie, wpół do siódmej. Słońce wpadające przez otwarte okno oświetlało jego smagłą twarz. Rozrzucone gęste włosy tworzyły dziką płataninę na szerokim czole; były fascynującą mieszanką ciemnego złota i srebra.

Ogarnęła ją czułość. Wolno wyciągnęła rękę i przesunęła palcem po jego skroni. Była pewna, że dotyk był lekki jak muśnięcie skrzydła motyla, lecz Boyd natychmiast otworzył oczy i spojrzał na nią badawczo.

- Dzień dobry, skarbie. Jak spały moje panie?

- Jako tako. Jak zwykle zmagalam się z mdłościami, a Tory ćwiczyła „Jezioro Łabędzie”.

Nie pamiętała już czasów, kiedy krzyż ją nie bolał. Boyd położył dłoń na jej brzuchu.

- Więc mała, zamiast bokserką, zamierza teraz zostać baletnicą?

Stacy przykryła ręką jego dłoń, rozkoszując się dotykiem cieplej skóry. Kiwnęła głową.

- Bardziej kobiece zajęcie, nie sądzisz?

- Jasne, ale nie tak ciekawe.

- Rzecz gustu, doktorze MacAuley. Zmarszczył czoło.

- Już nie jestem lekarzem. Zawahała się, a potem ruszyła do ataku:

- Fred Ivans tak nie uważa.

- Fred? - Boyd uniósł brwi. - Odkąd to się znacie?

- Odkąd odebrałam cztery jego telefony, na które powinienes odpowiedzieć.

- Byłem zajęty - odparł posępnym tonem.

- Mogę do niego zadzwonić w twoim imieniu - zaproponowała tak obojętnie, jakby chodziło tu o odprasowanie mu koszuli. - Mogę umówić was na spotkanie. Albo jeszcze lepiej! Może zaproszę go na kolację?

Pokręcił głową.

- Masz ważniejsze zajęcia niż podejmowanie obcych.

- Dla ciebie Fred nie jest kimś obcym.

- Zostaw to, Stacy, nie wrócę do szpitala. Ta część mojego życia to już przeszłość.

Spokojnie, upomniała samą siebie. Nie naciskaj zbyt szybko i gwałtownie.

- Chcesz mi powiedzieć, że ci tego nie brakuje?

- A czego ma mi brakować?

- Satysfakcji z pomagania innym - powiedziała. Prychnął pogardliwie.

- Chyba życia, kiedy jest się tak zmęczonym, że nawet rzęsy bołą, a poziom stresu może wykończyć człowieka z żelaza.

Skończyły się przekomarzania; czas na dyskusję, którą trzeba było podjąć wcześniej czy później.

- A co z satysfakcją, kiedy pomagasz cierpiącym? - zapytała z powagą i przekonaniem. - Co z radością ratowania życia?

- To nie zawsze tak wygląda, Stacy. Jeśli jesteś zbyt zmęczona, zestresowana... - Wzruszył ramionami i odwrócił głowę. - Jeden fałszywy ruch i ktoś, kto powinien żyć, umiera.

- Ale to ci się nie przytrafiło.

- Lecz mogło.

- Boisz się...

- Tak, do diabła! - krzyknął niemal. - Boję się. Czy możemy zmienić temat?

Usiadł, zsunął się z łóżka i wyszedł z sypialni. Po chwili usłyszała trzask drzwi łazienki i szum wody.

Możesz uciec ode mnie, ale nie od siebie, kochanie, pomyślała ze smutkiem. Wstała ostrożnie z łóżka. Nie czuła się winna, gdyż uważała, że naciska go w słusznej sprawie. Boyd był po prostu stworzony, aby leczyć. Gdyby nie jego upór, sam by to przyznał.

W końcu jeśli tak bardzo nie chciał wracać do zawodu lekarza, dlaczego przeglądał medyczne pisma, które przychodziły pocztą? Ponieważ ma to we krwi, odpowiedziała sobie, zrzucając krótką koszulę. Kocha to tak, jak ja kocham uczyć, dodała.

Ubrała się tak szybko, jak tylko pozwalał na to jej ogromny brzuch, a potem bosą przeszła do kuchni. Kawa już była zaparzona, dzięki czasowemu włącznikowi, który Boyd zawsze nastawiał wieczorem. Gdy tylko urodzi dziecko i gdy przestanie je karmić piersią, urządzi sobie prawdziwą kofeinową orgię, postanowiła.

Proszące miauknięcie z zewnątrz przerwało rozkosz, z jaką piła jedyną dozwoloną filiżankę kawy. Najwyraźniej Promyk obudził się i chciał jeść. Stacy z uśmiechem wypila jeszcze łyk, a potem otworzyła szafkę pod zlewem,

- Mały łakomczuch - mruknęła, nabierając solidną garść karmy.

Odkąd znalazła kotka na progu, musiała kupić nową paczkę chrapek. Boyd marszczył brwi, kiedy wrzucała kocie przysmaki do koszyka w supersamie, ale nie powiedział ani słowa o przyszłości zwierzaka.

Promyk krążył niecierpliwie po werandzie. Stacy otworzyła drzwi i zawołała go. Wymachując puszystym ogonem, żółty kociak podbiegł do miski.

Odetchnęła głęboko, otworzyła lodówkę i wyjęła pojemnik z jajkami. Po kolei wbijała je do miski, by usmażyć jajecznicę na szynce, ulubioną potrawę Boyda. Może będzie w lepszym nastroju... Liczyła, że w drodze do sklepu ze

starzyzną, gdzie znalazła całkiem dobrą kołyskę, zdoła go namówić do posprzątania w pokoju dzieciennym.

Zobaczmy, czy coś z tego wyjdzie, pomyślała, z zapalem roztrzepując jajka.

- Przepraszam, że byłem taki szorstki - zabrzmiał głos Boyda tuż przy jej uchu.

Zajęta swoimi myślami, nie spostrzegła, kiedy się zbliżył. Odłożyła trzepaczkę i odwróciła się do niego. Zauważyła, że się ogolił, a nawet przyczesał mokre włosy w coś zbliżonego do porządnej fryzury.

- Musisz skończyć z tą seksowną wodą po goleniu - zażartowała, wciągając głęboko emanujący z Boyda zapach.

- To tylko mydło - odparł, przedrzeźniając jej słowa. A kiedy się zaśmiała, objął ją i przyciągnął do siebie.

- To nie może być mydło - powiedziała rozbawiona.

- Daję słowo honoru - zapewnił, pochylił się i musnął ustami jej wargi. - Ale cieszę się, że uważasz mnie za seksownego mężczyznę.

- Nieustannie - wymruczała, ulegając pragnieniu, by przytulić głowę do jego piersi.

Pod cienką koszulką wyczuwała bicie jego serca. Zastanawiała się, czy będzie za nią tęsknił, gdy już się od niego wyprowadzi... Bo ona będzie za nim tęsknić. Przymknęła oczy i objęła go mocniej.

- Czy masz dość sił na tę dzisiejszą wyprawę? - zapytał między delikatnymi pocałunkami, które wyciskał na jej czole.

- Czuję się świetnie - zamruczała. - Poza tym sprzedawca obiecał, że zatrzyma tę kołyskę tylko do południa.

Westchnął ciężko.

- Stacy, pozwól, że kupię ci nową kołyskę. To będzie mój prezent dla dziecka.

- Nie, ale możesz pomalować tę starą. Na perłową biel. Na jego czole pojawiła się znajoma zmarszczka.

- Oczywiście, pomaluję to draństwo. Tylko że to nędzny prezent.

- Nie dla mnie.

- A może kupić ci stolik do przewijania? - zaproponował.
- Taki z szufladami i miękkim blatem. Albo fotel na biegunach.

- Może kiedyś, kiedy będzie mnie na to stać.

- Do licha, Stacy, znów jesteś uparta. I to bez powodu.

- Kobiety w ciąży nie muszą mieć powodów do humorów
- oznajmiła, zerkając na swój brzuch. - To przywilej przyszłych matek.

Uniósł brwi, pocałował ją w nos i wypuścił z objęć.

- Jeśli nie zrobisz listy potrzebnych ci rzeczy, będę musiał sam ją ułożyć. - Uśmiechnął się złośliwie.

- Nie wiem jeszcze, gdzie będę mieszkać ani ile będę miała miejsca dla dziecka w nowym mieszkaniu. - Zawahała się i dodała: - Myślę o powrocie do Waszyngtonu, kiedy tylko dziecko będzie mogło odbyć podróż.

Coś zmieniło się w jego ciemnych oczach.

- Ustalimy to po porodzie.

Westchnęła i położyła mu dłonie na ramionach.

- Jeśli chodzi o mnie, z tobą mogłabym ustalać wszystko.

- To brzmi obiecująco. - Uśmiechnął się szeroko, czym rozgrzał ją od stóp po czubek głowy. - Może zaczniemy od tego? - Chwycił ją za ramiona, pochylił głowę i musnął wargami jej ucho.

Jęknęła cicho. Kiedy zsunął dłonie na jej piersi, poczuła, że traci oddech.

- Mamy robić zakupy - zaprotestowała tak rozpaczliwie słabo, że Boyd zachichotał.

- Później.

Odnalazł wargami jej usta w chwili, gdy zadzwonił telefon. Jęknął i odsunął się.

- Niech piekło pochłonie Aleksandra Grahama Bella - burknął i sięgnął po słuchawkę.

- Tak? - rzucił niecierpliwie.

Wciąż zarumieniona, Stacy wróciła do ubijania jajek.

- Tak, doktorze Ivans, otrzymałem pańskie wiadomości i jestem niezmiernie wdzięczny...

Stacy zerknęła przez ramię. Boyd przeczesał palcami włosy i patrząc jej prosto w oczy, powiedział do słuchawki:

- Nie chciałbym marnować pańskiego czasu... Nie, nie o to chodzi, ale... - Przymknął oczy, skrzywił się i wyprostował ramiona. - Tak, oczywiście. Jutro o dwunastej u Mallory'ego.

Kiedy odłożył słuchawkę, Stacy z uśmiechem ubijała jajka na pianę. Była tak zadowolona, że nawet się nie skrzywiła, gdy zaklął pod nosem.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kupowanie kołyski było błędem.

Załamana Stacy wpatrywała się w wiklinę, którą właśnie wyszorowała środkiem dezynfekcyjnym i mydłem. Sama nie pojmowała, jak mogła być tak mało delikatna. Dlaczego nie przewidziała, że starsza pani, właścicielka sklepu, w naturalny sposób uzna, że mężczyzna, który wszedł z ciężarną kobietą do sklepu, jest dumnym mężem i ojcem?

Trzeba przyznać, że Boyd przyjmował gratulacje staruszki ze spokojną godnością. Kiedy Stacy odliczała pieniądze za kołyskę, cierpliwie wysłuchiwał, jak pani Muldoon szczegółowo opisuje mu własne sześc ciąż, a potem wymienia wiek i zawody potomstwa.

Gdy brał kołyskę pod pachę, spytała jeszcze niewinnie, czy to jego pierwsze dziecko.

W drodze do domu Stacy przeprosiła, że wplątała go w tak niezręczną sytuację, on zaś oznajmił, że bawiła go ta paplanina. Trudno było w to uwierzyć, widząc jego posepny wzrok i zaciśnięte wargi.

Milczeli, kiedy wnosił kołyskę do domu i stawiał w kącie salonu. Nie odzywali się do siebie, kiedy pomagał jej chować zakupy, po które wpadli po drodze. A gdy tylko ostatnia puszka znalazła się w kredensie, a ostatni karton mleka w lodówce, Boyd przebrał się w wystrzępione dzinsy i wyszedł pracować na podwórzu. Oznajmił, że musi przyciąć żywopłot, który nie wymagał już żadnych zabiegów.

Stacy przesunęła palcem po wiklinie.

Pamiętała, jakby to było wczoraj, jak płakała, pakując rzeczy Lena: jego pamiątki, nagrody, ulubiony szlafrok. A kiedy odjechał wóz firmy przewozowej, usiadła na jego ulubionym krześle w kuchni i łkała żałośnie, póki nie zabrakło jej łez. Dobięło końca jej życie z mężczyzną, którego kochała.

Teraz rozumiała, że właśnie wtedy zaczęła odzyskiwać zdrowie. Kiedy Len wrócił z kanistrem benzyny, by spalić dom, potrafiła mu współczuć i wybaczyć sobie radość, że żyje, choć on dla niej już umarł.

Przygryzła wargę, odwróciła się wolno i spojrzała wzdłuż korytarza. Drzwi na jego końcu były zamknięte od tego ranka, gdy weszła tam, biorąc pokój dziecinny za pracownię Boyda. O ile wiedziała, Boyd nigdy tam nie wchodził. Warstwa kurzu na szczątkach mebli sugerowała, że w pokoju od lat nikt nie bywał.

Może to dobrze, że nie zaczęła dziś rano mówić o sprzątnięciu tego pokoju, pomyślała, ruszając korytarzem. Może jeśli sama zacznie go porządkować, Boyd chętnie za nią dokończy sprzątania i może, robiąc to, znajdzie pocieszenie, którego tak bardzo mu potrzeba.

Chociaż raczej będzie się na nią gniewał, stwierdziła, otwierając drzwi dziecinnego pokoju. Pewnie będzie zły i zimny jak bryła lodu...

- Co ty tu robisz, do diabła? - syknął z wściekłością.

Stacy siedziała niezgrabnie na środku podłogi, którą tylko częściowo oczyściła. Jęknęła, zaskoczona, wyprostowała obolałe plecy i spojrzała na niego. Groźny blask w ciemnych oczach odebrał jej na chwilę oddech.

- Potrzebujesz gabinetu, a ten pokój nie jest używany - odparła spokojnie.

- Mam biurko i szafkę na dokumenty w salonie. To wystarczy.

- Potrzebne ci są co najmniej dwie szafki i blat tak duży, żebyś mógł na nim rozkładać rysunki. O ile nadal będziesz pracować jako stolarz. - Spojrzała na odpryski żółtej porcelany, resztki dziecięcej lampy z kloszem w kształcie słoneczka. - Jeśli znów zaczniesz leczyć, będziesz potrzebował gabinetu.

Spojrzał tak, że po jej plecach spłynęła lodowata fala.

- Przestań, Stacy - powiedział wolno i wyraźnie. - Zgodziłem się na lunch z Fredem Ivansem z czystej uprzejmości.

- Skoro tak mówisz...

Boyd odetchnął głęboko i próbował opanować gniew. Wyjdź stąd, powiedział sobie, idź na spacer, zanim zrobisz coś, czego będziesz żałował. Lecz jakiś impuls, zrodzony w mrocznej głębi duszy, kazał mu przestąpić próg pokoju.

To nie gniew nim powodował. Z tym by sobie poradził.

Nie, to szok, że znalazł się znowu tu, gdzie tuż poza zasięgiem wzroku czaiły się wspomnienia. A spojrzenie Stacy mówiło, że doskonale rozumie jego uczucia. Rozumie i chce mu pomóc.

- Kiedy powiedziałem, że coś ustalimy, nie oznaczało to zgody, żebyś przejęła rządy w moim domu i moim życiu - oznajmił cichym, spokojnym tonem.

Uderzył go ból, jaki pojawił się w jej oczach. Ale raz wypowiedzianych słów nie dało się cofnąć.

- Czy nie to właśnie zrobiłeś miesiąc temu? Czy nie zawładnąłeś moim życiem? - Stacy wrzuciła kawałek szkła do najbliższego worka.

- Nie bądź śmieszna.

- Śmieszna? Jestem tylko uczciwa. W tej części Mill Works Ridge rozkwita podwójna moralność. Uprawia ją wielki Boyd MacAuley, człowiek, który jest tak zajęty uzalaniem się nad sobą, że nie widzi, jakie ma szczęście.

Oczy Boyda przybrały barwę ciemnego lodu.

- No dalej, powiedz, co zamierzasz - rzucił, ledwie poruszając wargami.

- To jest w porządku, gdy wpadasz do mojego pokoju, porywasz mnie wbrew woli, w porządku, gdy wymyślasz marny pretekst pomocy w prowadzeniu księgowości, żeby

dawać mi pieniądze. - Stacy nabrała tchu i poczuła, jak dziecko porusza się w jej brzuchu. - Na dodatek doprowadziłeś do tego, że się w tobie zakochałam, choć doskonale wiem, że to jest bez sensu.

Twarz Boyda pociemniała. Cierpienie w jego spojrzeniu sprawiło, że niemal pękło jej serce. Zakochany człowiek czuje radość, gdy jego miłość jest odwzajemniona, nie ból.

- Ale to moja sprawa - mówiła dalej. - Prawie każdy, kto cię zna, chciałby ci pomóc w pogodzeniu się z tragedią, jaka cię spotkała. To naprawdę była tragedia, Boyd. Wystarczyło tutaj zajrzeć.

Skrzywił usta, a Stacy poczuła łzy w oczach.

- Ale nie dopuszczasz nikogo, by ci pomógł. Opowiadasz mi o dumie, a sam dumą tak się owinąłeś, że aż dziwne, że cię nie udusiła.

- Do diabła z dumą! To, że nie biegnę zapłakany do znajomych, kiedy mam zły nastrój, nie znaczy jeszcze, że jestem takim czubkiem, jakiego tu opisujesz.

Stacy rozejrzała się znacząco i spojrzała mu w oczy.

- Człowiek, który żyje z czymś takim przez trzy lata, nie ma po prostu złego nastroju, Boyd. - Przygryzła wargę. - Potrzebna ci pomoc. Specjalisty.

Nagle wydał jej się straszliwie zmęczony.

- Otrzymałem pomoc specjalisty. Wyściełany pokój i kaftan bezpieczeństwa. Do diabła, miałem, co trzeba.

Stacy otworzyła usta w zdumieniu. Dreszcz przebiegł jej po skórze.

- Co?

- Załamałem się, Stacy. Rozpadłem na kawałki. Trafiłem do szpitala psychiatrycznego niedaleko Roseburga. - Odwrócił głowę i zacisnął zęby.

- Kiedy... Dlaczego? Spojrzał na nią z rezygnacją.

- Kiedy i dlaczego, to nie to samo. Spojrzałem na pacjentkę, której właśnie rozciąłem brzuch, i zobaczyłem swoją żonę... Możesz to sobie wyobrazić? Żonę, która nie żyła od kilku miesięcy. - Zdusił szorstki śmiech. - Usłyszałem nawet jej głos, czysty i wyraźny, którym błagała, bym rozciął ją wtedy przy drodze i wyjął dziecko.

Stacy zamrugła powiekami, niezdolna przyjąć' tego, co właśnie usłyszała.

- Prudy powiedziała, że wyjechałeś... - rzuciła cicho, wiedząc już, że do końca życia będzie miała wyrzuty sumienia

- Pojechałem odwiedzić moją siostrę w Roseburgu. Dotarłem na jej werandę w środku nocy. Znalazła mnie rankiem. Mówiła, że wpatrywałem się w pustkę, lecz ja tego nie pamiętam.

Opisywał tylko fakty, lecz wyczuwała, z jakim wysiłkiem zdradza jej część tego, przez co przeszedł.

- Pomogli ci w szpitalu?

- Owszem, pomogli. - Uśmiechnął się krzywo. - Miła, solidna dawka thorazyny co cztery godziny.

- Nie wszyscy psychiatrzy podają takie leki. Znam taką kobietę w...

- Walczysz po gongu, Stacy. Już dawno temu rzuciłem ręcznik na ring.

Zanim zdołała znaleźć właściwe słowa, odwrócił się i wyszedł. Zostawił ją tak, jak ją zastał - w ruinach swego życia. I w ruinach jej marzeń.

Spoglądając groźnie na miauczącego kota, Prudy wystukała niecierpliwy rytm na tylnych drzwiach domu Boyda. Minęły prawie trzy godziny, odkąd niemal zderzył się z jej volvo na podjeździe. Nawet na nią nie spojrział, tylko dodał gazu. Gdyby była przy nim Stacy, Prudy pomyślałaby, że jadą do szpitala.

Ponieważ pod drzwiami czekał na nią hydraulik, nie zajrzała do Stacy od razu.

- Do diabła, nie powinnam czekać - mruknęła w stronę kota i uniosła pięść, by znowu zastukać.

Wtedy jednak usłyszała szcęk zamka i Stacy otworzyła drzwi.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Prudy.

- Nie - burknęła i cofnęła się z wyraźnym wysiłkiem.

- Zaczęło się?

Uśmiech Stacy zmienił się w grymas.

- Tak.

- Jak często masz skurcze?

- Ostatnio co siedem minut.

Prudy zerknęła na zegarek i objęła ją.

- Chodź, usiądziesz sobie w wygodnym fotelu.

- Jeszcze nie jestem gotowa. Naprawdę nie jestem. Prudy usłyszała ton paniki w jej głosie.

- Dzwoniłaś do Jarroda?

- Do gabinetu. Jest na porodówce.

- Posadzę cię wygodnie i zadzwonię.

Stacy poczuła kolejny skurcz, który zaczął się w okolicy pleców i wolno zmierzał w stronę brzucha, gdzie zwinął się w jądro bólu.

- Oddychaj głęboko - usłyszała polecenie Prudy i próbowała je wykonać. Jednak nie mogła się skupić.

- Szkoda, że nie ma Boyda - stęknęła, kiedy ból minął.

Prudy posadziła ją na sofie i przyklękła obok.

- A gdzie wybył ten niedźwiedź?

- Uciekł.

- Co?

- Pokłóciliśmy się. - Stacy wypuściła powietrze. Była przestraszona i zmęczona. - Och, Prudy, tym razem zawałam sprawę.

- Wątpię.

Stacy oparła głowę o poduszkę i przymknęła oczy. Po pierwszych kilku skurczach dziecko przestało się ruszać.

- Tak wiele mi ofiarował. - Właściwie wszystko oprócz tego, na czym mi najbardziej zależało, dodała w myślach. - Chciałam dać mu coś w zamian. Pomyślałam, że jak posprzątam dziecinny pokój, to może... Och, nie, znowu! - Skurcz był dłuższy i bardziej bolesny, a gdy minął, Stacy dyszała ciężko, mokra od potu.

- Pięć minut - mruknęła Prudy i wstała. - Spróbuj się odprężyć. Znajdę Jarroda i uprzedzę go, że jedziemy.

Stacy przycisnęła ręce do brzucha i opadła na poduszki. W marzeniach widziała, jak Boyd siedzi teraz obok, trzyma ją za rękę i mówi do niej spokojnym, szorstkim głosem.

Och, Boyd, strasznie narozrabiałam, prawda?

Jedyną odpowiedzią były głuche uderzenia serca nad ciałkiem dziecka, które już wkrótce miała zobaczyć.

Boyd wrócił do domu gotów do pojednania, lecz znalazł tylko kartkę od Prudy, przypiętą do drzwi. Napisała, że Stacy rodzi i w związku z tym pojechały do szpitala.

Dwie minuty potem był znowu na drodze, a żrący lęk o Stacy palił mu wnętrzności. Starał się jechać ostrożnie, tym bardziej że miał ochotę wcisnąć pedał gazu do oporu, nie przejmując się sygnalizacją czy policją. Pod swoim podpisem Prudy podała porę ich wyjazdu, z czego wynikało, że nie było ich w domu już od czterech godzin. Od czterech godzin powinien być przy Stacy: dotrzymać obietnicy, którą jej złożył, a nie kryć się jak ranne zwierzę w zadymionym barze.

Kiedy wyszedł stamtąd równie trzeźwy jak wchodził, doszedł do jednego wniosku - nie miał prawa atakować Stacy za to, że próbowała go ratować przed nim samym i pomóc mu uwolnić się od upiorów przeszłości.

Dać mu radość, którą potrafiła stworzyć jednym uśmiechem.

Radość, którą zabijał, użalając się nad sobą.

Zatrzymał się na szpitalnym parkingu i przekręcił kluczyk tak mocno, że niemal go złamał. Potem wyszarpnął go ze stacyjki, wyskoczył z wozu i biegiem ruszył do wejścia.

Stacy obudził promień słońca, padający na jej łóżko. Pokój był pełen kwiatów. Zanim uśmiech zachwytu pojawił się na jej wargach, znieruchomiała na widok Boyda, śpiącego w fotelu. Wciąż miał na sobie koszulkę i szorty, które włożył do pracy w ogrodzie. Lecz to biały pluszowy miś, którego trzymał pod pachą, wywołał łzy w jej oczach.

Przygryzła wargę i wyciągnęła rękę, by dotknąć silnej dłoni, zaciśniętej opiekuńczo na łapce misia. Musnęła ją tylko, ale to wystarczyło, by go obudzić.

- Wyglądasz pięknie - oświadczył chrapliwie. - Ale brakuje mi twojego okrągłego brzuszka.

Stacy zarumieniła się, dotknęła białej płaskiej przestrzeni, którą tworzyła szpitalna pościel, okrywająca ją od piersi do stóp.

- Mnie go nie brakuje - mruknęła z ulgą.

Uśmiechnął się z trudem, czując, jak serce bije mu szaleńczo. Stacy była teraz bardziej niż piękna: słońce złociło jej włosy, a w oczach lśniła radość macierzyństwa.

- Cudne są te kwiaty - powiedziała, rozglądając się dookoła. - Od ciebie?

- Nie, od pani Matsuka.

- Od kogo?

Uwielbiał, gdy tak ściągała brwi i marszczyła w zdumieniu czoło.

- Od Mary Matsuka. W holu na dole prowadzi kwiaciarnię. Zaśmiała się cicho.

- Wykupiłeś wszystkie kwiaty.

- Niezupełnie. Miała jeszcze paskudnego kaktusa, którego zostawiłem.

Znów się roześmiała.

Boyd przeciągnął się. Zesztywniałe mięśnie zareagowały bólem. Zjawił się na oddziale położniczym, gdy Stacy już urodziła, co jeszcze zwiększyło jego poczucie winy. Zapewnienia Jarroda, że obie czują się świetnie, pomogły tylko trochę.

- Stacy, ja...

- Nic nie mów - rozkazała stanowczo. - To nie twoja wina, że akurat zaczęłam rodzić i wszystko potoczyło się tak szybko. - Odetchnęła i uśmiechnęła się promiennie. - Chociaż muszę przyznać, że chciałam, żebyś zobaczył Tory zaraz po porodzie.

Coś ścisnęło mu krtań.

- Ja też - przyznał ponuro. - Ale zobaczyłem ją, gdy miała trochę ponad godzinę. I owszem, mamusiu, jest najładniejszym dzieckiem w tym szpitalu.

Stacy roześmiała się.

- Auu - mruknęła, kiedy poczuła ból. - Słowo daję, że najgorsza rzecz przy porodzie to nacięcie, a potem zakładanie szwów.

Była tak zakłopotana, że musiał się uśmiechnąć.

- Jarrod mówił, że miałaś lekki poród.

Przycisnęła guzik, by unieść podglówek łóżka.

Zastanawiała się właśnie, kiedy przyniosą Tory do karmienia, gdy wkroczyła pielęgniarka i wtoczyła łóżeczko na kółkach.

- Dzień dobry - powiedziała.

Twarz Stacy rozpromieniła się, gdy pielęgniarka podniosła zawinięte w pieluszki dziecko.

- Przez całą noc nawet nie pisnęła - oznajmiła, wręczając Tory matce. - Najspokojniejszy dzieciak na całym oddziale.

- Och, Boyd, jest ładniejsza, niż ją zapamiętałam.
- Jest tak piękna jak mamusia - stwierdził.
- Czy ma pani pokarm? - spytała pielęgniarka.
- Jeszcze nie. - Stacy zmagła się z guzikami koszuli.
- Czasami wymagana jest stymulacja ssania. Czy mogę jeszcze w czymś pomóc?

- Nie, dziękuję.
- Kiedy skończy pani karmienie, proszę zadzwonić. Stacy kiwnęła głową.

- Ale Tory zostanie tu ze mną, prawda?
- Oczywiście. Nikt nie ośmieliłby się jej zabrać. - Pociuszajaco poklepała Stacy po ramieniu i wyszła.

Stacy patrzyła na małą twarzączkę córki i przez moment nie mogła złapać tchu. Słodka Victoria.

Miłość wypełniła ją i rozgrzała. Uniosła głowę, spojrzała na Boyda i uśmiechnęła się.

- Wiedziałam, że ją kocham, ale do tej chwili nie miałam pojęcia, jak bardzo.

Boyd westchnął. Pora już iść. Wstał, odłożył pluszowego misia, o którym całkiem zapomniał, a potem spojrzał na Stacy.

- Więc to koniec naszych wspólnych chwil... prawda? - spytała cicho.

Nie wiedział, co powiedzieć.

- Powtarzałeś, żeby ci nie dziękować, więc nie będę tego robić. Ale musisz wiedzieć... jak wiele dla mnie znaczysz. Jak wiele zawsze będziesz znaczył.

Z trudem oddychając, Boyd posadził misia na materacu łóżka. Nadzieja w jej oczach sprawiała mu ból.

- Chcesz ją potrzymać?

- Jestem zbyt brudny - odparł, patrząc na swoją przeupoconą koszulkę.

- Nie dla nas.

Zobaczył, jak nadzieja gaśnie w jej oczach, i miał ochotę zapaść się pod ziemię.

- Obiecuj, że będziesz mieszkać w moim domu, dopóki nie znajdziesz pracy i mieszkania - rzucił.

- Dobrze.

Spodziewał się protestu, więc ta szybka zgoda drasnęła mu serce.

- Na stole w kuchni zostawię czek. Zrealizuj go i zużyj te pieniądze, żeby zacząć życie od nowa. Możesz mi je oddać, kiedyś. - Zanim zdążyła zaprotestować, uniósł rękę. - Możesz oddać nawet z procentem, jeśli poprawi ci to nastrój.

- Och, Boyd - szepnęła.

- Nie będzie mnie, kiedy wrócisz, więc pożegnam się teraz.

- Dokąd jedziesz?

Sam nie wiedział, więc tylko wzruszył ramionami.

- Dbaj o siebie i Victorię.

I tak jak kiedyś o was dbałem, pomyślał i pochylił się, by musnąć wargami jej usta.

- Boyd, proszę cię...

Dotknął palcem jej warg, uciszając słowa, których mogłaby potem żałować.

- Tak będzie lepiej, Stacy.

Zawahał się, a potem - ponieważ nie umiał się powstrzymać - pochylił się i ucałował różowy policzek dziecka. Przez chwilę pomyślał o swojej córeczce i ból uderzył go z taką siłą, że aż się zachwiał. Zapanował nad sobą, wyprostował się i zmusił do uśmiechu. A potem ruszył do wyjścia.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Słyszając zbliżające się do gabinetu kroki, Boyd odwrócił się od okna, skąd obserwował drozda. Myślał o Stacy, naturalnie. Zastanawiał się, czy jest zdrowa i szczęśliwa.

Doktor Skip Weilbren wszedł do gabinetu z taką samą udreńczoną miną, jak tego straszego dnia dziesięć tygodni temu, kiedy Boyd przybył tu po raz pierwszy prosić o przysługę starego kumpla z akademii medycznej. Stawienie się w szpitalu psychiatrycznym nie było najprostszą rzeczą, jaką Boyd zrobił w życiu, ale już pierwsze kilka minut ze Skipem przekonały go, że to właściwe posunięcie.

- No cóż, Boyd, nie powiem, że dobrze się bawiłem, ale na pewno było to interesujące.

W głosie Skipa wyczuwało się żartobliwy ton. Boyd się uśmiechnął.

- To było piekło i wiesz o tym dobrze.

- Tak, ale wiesz, jak jest z nami, synami farmerów. Od czasu do czasu lubimy zgryźć jakiś twardy orzech.

Boyd jęknął, a Skip zachichotał tryumfalnie.

Przez chwilę jakby czas się cofnął: uśmiechali się do siebie niczym zwariowani studenci, którzy właśnie wycięli jakiś numer wykładowcy. Potem Skip wyciągnął rękę, a Boyd ją uścisnął.

- Dzięki, że się mną zająłeś - mruknął. Skip kiwnął głową.

- Wiesz dobrze, że właściwie nie musiałeś tu przyjeżdżać. Prędzej czy później sam byś sobie z tym poradził.

- Może.

- To prawda. Ja tylko pchnąłem cię we właściwym kierunku.

- Raczej skopałeś mi tyłek. - Boyd przełknął ślinę. - No cóż, teraz już nie będziesz miał mnie na głowie. Podobnie jak włosów.

Skip pogładził dłonią łysą czaszkę i zmarszczył brwi.

- Zauważyłem, że masz trochę więcej siwych niż wtedy, gdy tu przyjechałeś.

- Złudzenie optyczne. - Boyd sięgnął po starą torbę, jedyny bagaż, jaki ze sobą przywiózł.

- Wciąż chcesz skorzystać z propozycji Ivansa?

- Jeśli mnie zechce, tak.

- A Stacy? Dzwoniłeś do niej? - zapytał nagle Skip.

- Nie. - Zrzucił torbę na ramię. - Nie mam pewności, czy jestem już gotów ożenić się i mieć dzieci. Dopóki się nie upewnię, nie chcę niszczyć jej życia. Wiesz, o co mi chodzi, Skip kiwnął głową.

- Nie czekaj zbyt długo. Pamiętasz, co cię tu przygnało? Boyd uśmiechnął się z przymusem.

- Tak. „Nie myśl nad tym, tylko działaj”.

- To normalne, że trochę się wahasz.

- Waham się? - Boyd uniósł brwi. - Raczej jestem przerażony.

Stacy postanowiła zostawić dom Boyda lśniący i czysty. Za dwa dni miała się przeprowadzić do dwupokojowego mieszkania, które znalazła niedaleko szkoły podstawowej, gdzie została zatrudniona jako nauczycielka klas młodszych.

Ponieważ niewiele miała do pakowania, postanowiła najpierw sprzątnąć. Zaczęła od kuchni i kiedy kładła Tory na popołudniową drzemkę, zostało jej tylko wyszorowanie piekarnika.

- Śpij teraz, mały pączuszu - zagruchała, układając małą w kołysce.

Wkrótce dziewczynka miała się przenieść do nowego łóżeczka. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, przywiozą je do mieszkania w dzień przeprowadzki.

Głos Stacy wyraźnie bawił Tory, bo mała zachichotała radośnie i skopała z siebie kocyk, którym matka przed chwilą starannie ją okryła.

- No już, wystarczy - pouczyła ją Stacy. - Lato się skończyło. Nie chcę, żebyś się przeziębila, zanim pójdziesz do żłobka.

Schyliła się i potarła policzkiem brzusek dziecka. Tory pisnęła z radości. Śmiejąc się cicho, Stacy zaczęła skubać brzusek małej wargami, a Tory wsunęła paluszki w jej włosy. Zanim skończyły rytualną zabawę przed spaniem, Tory zdążyła zniszczyć kok na głowie matki. Stacy sprawdziła, czy żadna spinka nie wpadła do kołyski, i ruszyła do łazienki, żeby poprawić fryzurę, gdy zatrzymał ją ostry dźwięk dzwonka.

Ponieważ tylko dostawcy i misjonarze dzwonili do frontowych drzwi, otworzyła je niechętnie.

- Boyd! - Zaskoczona uniosła dłoń do ust, a serce zabiło jej w piersi jak szalone.

- Cześć, Stacy. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

- Właśnie się bawiłyśmy. Tory i ja. My. - Uświadomiła sobie, że plecie bez sensu, więc zamknęła usta.

- To chyba była niezła zabawa.

Wyglądał świetnie. Wypoczęty, opalony i jakby młodszy. Nawet dzinsy wyglądały na nowe... Pod bordową bluzą jego pierś wydawała się szersza, niż to zapamiętała. Spojrzała mu w oczy i dostrzegła, że jest zdenerwowany.

- Przybrałeś na wadze - wydusiła z siebie. - To znaczy lepiej wyglądasz.

W oczach błysnął mu nikły uśmiech.

- Trochę ćwiczyłem.

- To dobrze. - Przełknęła ślinę. - Może wejdiesz? - spytała uprzejmie i roześmiała się. - Głupie pytanie. Przecież to w końcu twój dom.

Cofnęła się, nieprzyjemnie świadoma, że jej włosy są potargane i splątane, a stara koszulka ma z przodu plamę, pamiątkę po karmieniu Tory.

- Jak czuje się dziecko? - zapytał, kiedy zamknęła drzwi. Wniósł ze sobą zapach jesieni, wiatru, dymu i nadchodzącej burzy.

- Rozkwita; jest gruba jak mały Budda. Chcesz ją zobaczyć? Ułożyłam ją do spania, ale...

Przeczesał palcami włosy, a potem rozejrzał się, jakby czegoś szukał. Może słów. Spojrzał na nią z uwagą.

- Później. Niech śpi.

Podniecenie, jakie w niej obudził, przygasło nagle.

- Może napijesz się kawy albo soku?

- Nie, dziękuję. - Lekko się uśmiechnął. - Nie wspomniałaś o ziołowej herbacie.

Skrzywiła się.

- Przekonałam doktora Jarroda, żeby pozwolił mi przejść na bezkofeinową kawę.

Zmrużył oczy.

- Luke zawsze ulegał pięknym kobietom.

Pięknym? Czy tak o niej myśli? Stacy poczuła, że nadzieje budzą się znowu z popiołów, gdzie je pogrzebała. Opanowała się jednak. Boyd nie odezwał się do niej przez trzy miesiące.

Teraz był po prostu uprzejmy. Prawdziwy dżentelmen, jak zawsze.

- Może usiądziesz? - spytała, wskazując sofę, na której kiedyś sypiał.

Raz jeszcze rozejrzał się po pokoju. Było w nim coś potężnego, żywotnego, coś, czego nie miał w sobie, gdy widziała go ostatnim razem.

- Będę wdzięczna, jeśli usiądziesz i dasz mi pretekst, abym mogła udawać panią domu.

Boyd odetchnął głęboko, po raz pierwszy, odkąd przestąpił próg. Przynajmniej nie wykopała go za drzwi.

Nie usiadła obok, na co liczył, lecz wybrała fotel naprzeciwko.

- Wyszczuplałaś - zauważył, oceniając luźną koszulkę, która kiedyś niemal opinała jej brzuch.

- Na pewno jestem szczuplejsza - odparła ze śmiechem. - Ale muszę jeszcze zrzucić ze trzy kilo.

- I tak świetnie wyglądasz.

Tak naprawdę uważał, że wygląda pięknie. Tak samo jak we śnie, który nawiedzał go każdej nocy. Stacy zapytała niepewnie:

- Przyjemnie spędziłeś wakacje?

- Nieszczególnie. Ale wyjazd był konieczny.

- Musiałeś wyjechać. - To nie było pytanie.

- Tak. Tak samo jak musiałem wrócić.

- Załatwić wszystkie sprawy - mruknęła.

- Coś w tym rodzaju.

- Na pewno się ucieszysz, że moja sprawa jest już załatwiona. - Uśmiechnęła się nieśmiało. - Wyprowadzamy się do własnego mieszkania pojutrze. - Zanim zdążył odpowiedzieć, mówiła dalej: - I pewnie ucieszysz się, wiedząc, że jestem kobietą pracującą, majątną i cieszącą się dobrym zdrowiem.

- To widzę. - Boyd zauważył, że pocą mu się dłonie, więc wytarł je o nogawki spodni. - Czy wolno spytać, jak tego dokonałaś w tak krótkim czasie? Cień przepłynął po jej twarzy.

- Podania o pracę składałam jeszcze przed końcem roku szkolnego. Pomogła mi trochę pani Marsh, kierowniczka szkoły podstawowej. Pamiętasz, iż po wypadku prosiłam, żeby ktoś do niej zadzwonił? - Nie czekając na odpowiedź, dodała: - A pieniądze pochodzą z ubezpieczenia Lena. Zupełnie zapomniałam, że mieliśmy polisę. Kiedy zadzwoniłam do jego rodziców, żeby zawiadomić ich o narodzinach Tory, powiedzieli, że szuka mnie towarzystwo ubezpieczeniowe.

Z pewnością nie była bogata, ale miała dość pieniędzy, żeby zwrócić dług Boydowi i spłacić rachunki za szpital. Zostanie jej wystarczająco dużo, by mogła przeżyć, ucząc w szkole na pół etatu, póki Tory nie podrośnie.

- Myślę, że pomimo choroby wciąż usiłował być tym mężczyzną, za którego wyszłaś. Może warto o tym pamiętać.

- Na pewno - szepnęła cicho, zerkając na zdjęcie Tory, stojące na stoliku pod oknem. - Obiecałam sobie, że ona dowie się o tatusiu tylko tego, co dobre.

Len był wciąż obecny w błysku dziecięcych oczu i czarnych lokach. Ale był tu i Boyd, choć jego krew nie płynie w żyłach Tory.

- Nazwałam ją Victoria MacAuley Patterson. - Bojąc się spojrzeć na Boyda, Stacy skierowała drżący uśmiech w stronę fotografii. - Mam nadzieję, że to ci nie przeszkadza.

Nagła cisza wydała się Stacy nie do zniesienia. Zwiastowała kres jej marzeń. Wyprostowała ramiona i zmusiła się, by spojrzeć Boydowi w oczy.

- Zawsze mogę to zmienić, jeśli zechcesz. To był taki kaprys... pod wpływem chwili.

Wolno kiwnął głową. Zauważyła, że nerwowo przesuwając dłoń po udach.

- Oczywiście, nie masz względem Tory żadnych zobowiązań. Nie chciałabym, żebyś tak myślał. Tak wiele dla nas zrobiłeś, że same słowa wdzięczności chyba nie wystarczą, ale...

- Stacy, ja...

- Słuchaj. - Uniosła dłoń. - Chociaż raz mnie posłuchaj. Dobrze? W najtragiczniejszej chwili życia stanąłeś obok mnie. Byłeś całkiem obcy, a podałeś mi rękę, kiedy nikt inny tego nie zrobił. A co najważniejsze, dałeś mi czas i miejsce, którego potrzebowałam, pomogłeś mi odzyskać wiarę w siebie. Jak można to wycenić?

Otworzył usta i chciał coś powiedzieć, lecz uciszyła go znowu.

- Nie sposób. Nigdy, nawet za milion lat. Mogę ci tylko podziękować. Ale kiedy tylko próbuję to robić, nie chcesz mnie słuchać. Mam już tego dosyć.

Siedział i wpatrywał się w nią ze zdumieniem. Stacy uznała to za dobry znak. Przynajmniej raz jej nie przerwał, nie udawał, że nic dla niej nie zrobił.

- Jeśli nie chcesz się przyznać, że są w tobie jakieś uczucia, to nie rób tego. Ale nie odmawiaj mi prawa do wyrażania swoich.

- Stacy, to co czujesz, jest dla mnie bardzo ważne.

- Akurat...

Wstał, lecz nie podszedł do niej. Nie wziął jej w ramiona i nie wypowiedział słów, o których zawsze marzyła.

- Moja babcia uczyła mnie, że dżentelmen nigdy nie sprzeciwia się damie, nawet jeśli ta nie ma racji.

Stacy zamrugła nerwowo powiekami.

- Nie mam racji?!

- Zaryzykuję, że znów cię rozgniewam. Chciałem cię o coś zapytać.

- O co?

- Zapytać, czy zechcesz zmienić nazwisko Victorii...

- Mówiłam, że to tylko zachcianka. - Machnęła ręką.

Kiedy umilkła, Boyd postąpił o krok, wyczuwając jej zapach: mieszaninę mydła i dziecięcego pudru. Stacy oddychała z trudem, a kiedy zbliżył się jeszcze bardziej, w ogóle przestała oddychać. Nie dotknął jej jednak.

- Zadałem ci pytanie, pamiętasz? Kiwnęła głową.

- Czułbym się zaszczycony... - Zamilkł i przesunął dłonią po jej włosach. - Ale zastanawiałem się... miałem nadzieję, że może zechcesz je zmienić na Victoria Patterson MacAuley.

Stacy otworzyła usta, zamknęła i znów je otworzyła. Boyd uśmiechnął się.

- Po raz pierwszy widzę, jak Stacy nie może znaleźć słów.
- Wsunął za ucho kosmyk jej włosów. - Tęskniłem za tobą, skarbie.

- Ja też tęskniłam - szepnęła. - Myślałam o tobie...

- Ciii. - Przyłożył palec do jej warg. - Pozwól mi skończyć, póki mogę, choć Bóg widzi, jak bardzo chcę cię wreszcie pocałować.

Stacy miała ochotę zapłakać ze szczęścia. Boyd odetchnął głęboko.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie jestem księciem z bajki. Wiele przeżyłem i choć próbuję pozbyć się problemów, nie mam pojęcia, jaką mogę zapewnić nam przyszłość. Ale myślę, że powinniśmy przynajmniej spróbować.

Nagle poczuła lęk.

- Uważasz, że będziemy tworzyć dobrą parę? - spytała cicho.

- Świetną.

- I będziemy dobrymi rodzicami?

- Najlepszymi, Przynajmniej jedno z nas.

- I kochankami?

Ogień błysnął w jego oczach. - Na to liczę.

Pozostało tylko jedno pytanie i nie mogła się zmusić, by je wypowiedzieć.

Jakby odgadując myśli Stacy, położył dłoń na jej ramieniu.

- To już wszystko? Czy mogę cię teraz pocałować?

- Jeszcze nie. Mam ostatnie pytanie. - Jeśli zdołam je wykrztusić, pomyślała.

- No dobrze, pytaj.

Stacy z wysiłkiem przełknęła ślinę.

- Czy właśnie poprosiłeś mnie o rękę? Zmarszczył brwi.

- Myślałem, że to dość oczywiste. - Westchnął. - Zapomniałem chyba, że do kobiet trzeba się zwracać odpowiednimi słowami.

- Przynajmniej do tej kobiety - mruknęła.

- No dobrze. Stacy Patterson, czy wyjdiesz za mnie? Zamiast odpowiedzi spojrzała tylko na niego swoimi cudownymi złocistymi oczami.

- Czy urodzisz moje dzieci? Piątkę lub szóstkę?

Uśmiechnęła się, a Boyd poczuł, że spływa na niego spokój. A zaraz potem przeszła go lodowata igła strachu: przecież mu nie odpowiedziała.

- Do licha, Stacy, musisz za mnie wyjść.

- Muszę? Dlaczego?

- Bo przy tobie potrafię się śmiać. Dzięki tobie chce mi się znowu żyć. Ponieważ bez ciebie jestem pusty. - Nabrał tchu i zaryzykował. - I dlatego, że cię kocham.

Z cichym okrzykiem rzuciła się mu w ramiona. Złapał ją i okręcił wokół siebie. Przytknął wargi do jej miękkich, słodkich ust.

Potem Stacy płakała i śmiała się, a on miał podejrzenie błyszczące oczy.

- Na wypadek gdybyś sam się nie domyślił, przyjmuję twoje oświadczenia.

Spojrzał w jej oczy i poczuł, że uwolnił się od koszmarów. Nigdy nie będzie sam, póki ta kobieta będzie przy nim.

Uśmiechnął się do niej absolutnie pewien, że będzie szczęśliwy do końca życia.

- Jeśli już przestałaś mnie napastować, chciałbym teraz zobaczyć moją córkę.

Stacy słuchała rozbrzmiewającego miłością głosu Boyda i mrugała powiekami, by powstrzymać łzy. Pozwoliła mu odejść, a on jakimś cudem wrócił do mej. To niemal zbyt cudowne, by było prawdziwe. Jednak czuła, że nie mogło być

inaczej. Wrócił prosto w jej ramiona, ponieważ tam było jego miejsce.

- Czekaliśmy, kiedy wreszcie o to poprosisz.